

**Barbara Gołajewska-Chudzikiewicz**

Świat, którego już nie ma



opracowanie

**Jakub Gałęziowski**

[Kraków]

Wrocławski Rocznik  
Historii Mówionej  
Rocznik V, 2015  
ISSN 2084-0578



### **Wstęp**

„W styczniu czterdziestego piątego roku skończył się mój świat” – powiedziała Barbara Gołajewska-Chudzikiewicz na koniec naszego pierwszego spotkania, o drugiej w nocy 19 kwietnia 2007 r. Mimo iż wywodzące się z miejscowych chłopów nowe władze pozwoliły jej rodzinie, aby mimo ziemiańskiego pochodzenia pozostała w wydzielonej części dworu, ona sama w lutym postanowiła wybrać się do Krakowa na studia.

Kończąca się wojna, oprócz niezliczonych i powszechnie znanych tragicznych konsekwencji, znacząco wpłynęła na strukturę całych narodów. W Polsce jedne grupy społeczne całkowicie zniknęły, inne miały się dopiero narodzić. Zupełnie zmieniły się stosunki społeczne na wsi, gdzie właściciele ziemskich zastąpili podrzędni urzędnicy, stając się tym samym sługami nowego systemu.

Ziemiańskie<sup>1</sup>, ze swym etosem opartym na tradycyjnych obyczajach i rytuałach, stanowili wyjątkową i nigdy potem nie zastąpioną grupę w krajobrazie polskiej wsi, swoiste zaplecze inteligenckie. To oni uczyli chłopów, jak gospodarować, ich dwory niejednokrotnie pełniły funkcje centrów kultury i edukacji. Jako warstwa społeczna ziemiaństwo ukształtowało się w drugiej połowie XIX w. Zaliczano do niej właścicieli, współwłaścicieli, dzierżawców i administratorów majątków, a także osoby bez tytułu własności, ale akceptowane przez tę grupę społeczną<sup>2</sup>. Marcin Chorążki jako podstawową cechę badanej grupy wskazał swoisty styl życia, właściwy jedynie dla tej warstwy społecznej i stanowiący o jej przynależności mentalnej<sup>3</sup>. Kryterium to wydaje się wyjątkowo trafne także w przypadku mojej rozmówczynie, której matka<sup>4</sup>, mieszcanka z Petersburga, po śmierci swojego męża<sup>5</sup> została całkowicie zaakceptowana przez społeczność ziemiańską w regionie.

Warstwa ta, przechowująca nic powiązań z tradycją szlachecką kultuwaną we dworach, w wyniku przemyślanej polityki nowych władz w zasadzie

---

<sup>1</sup> Badania nad ziemiaństwem polskim nie należą do popularnych, choć po 1989 r. wśród polskich historyków można zauważyć wzmożone zainteresowanie tym tematem. Zob. K. Jasiewicz, *Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939–1956*, Warszawa 1995; S. Rudnicki, *Ziemiaństwo polskie w XX wieku*, Warszawa 1996; *Dziedzictwo. Ziemiańskie polscy i udział ich w życiu narodu*, red. T. Chrzanowski, Kraków 1996; W. Korzeniowska, *Ziemiaństwo na Górnym Śląsku w XIX i XX w. Studium monograficzne*, Opole 1997; M. Drewicz, *Prawo o wywłaszczeniu ziemian i likwidacji większych majątków ziemskich w Polsce w latach 1919–1952, jako czynnik zmiany społecznej oraz wykaz imienny nieruchomości ziemskich podlegających wykupowi przymusowemu na lata 1926–39*, Warszawa 2007; A. Łuczak, *Utracone decorum. Grabież dóbr kultury polskiego ziemiaństwa w Wielkopolsce w latach 1939–1945*, Warszawa–Poznań 2011. Zainteresowanych tematem odsyłam także do szczegółowej bibliografii zebranej w książce Marcina Chorążkiego. Zob. M. Chorążki, *Ziemiańskie wobec wojny. Postawy właścicieli ziemskich województwa krakowskiego w latach 1939–1945*, Kraków 2010.

<sup>2</sup> M. Chorążki, *op. cit.*, s. 11.

<sup>3</sup> Podobną definicję ziemiaństwa przyjął Mirosław Ustrzycki; zob. M. Ustrzycki, *Ziemiańskie polscy na Kresach 1864–1914. Świat wartości i postaw*, Kraków 2006. Warto zapoznać się także z definicjami autorstwa Wojciecha Roszkowskiego i Krzysztofa Jasiewicza; zob. W. Roszkowski, *Gospodarcza rola większej prywatnej własności ziemskiej w Polsce 1918–1939*, Warszawa 1986, s. 11; K. Jasiewicz, *op. cit.*, s. 10.

<sup>4</sup> Nina Holst (1893–1984).

<sup>5</sup> Jan hr. Morstin z Raciborska h. Leliwa (1892–1927).

przestała istnieć, została wymazana z mapy społecznej powojennej Polski, wraz z wszelkimi przynależnymi jej atrybutami, na czele z przejmowanymi przez państwo dworami<sup>6</sup>. Zgodnie z komunistyczną propagandą w kraju nie było miejsca dla wyzyskiwaczy chłopów, jak przedstawiano ziemian. Politycznym celem tej akcji miało być zniszczenie podstaw funkcjonowania tej grupy dotychczas niezależnej ekonomicznie, popierającej rząd polski na emigracji, a jednocześnie posiadającej głęboki wpływ na życie lokalnych społeczności. Z tych powodów dla władzy lubelskiej ziemiaństwo stało się naturalnym przeciwnikiem politycznym. Równie istotnym celem takiej postawy było pozyskanie przychylności chłopów dla nowej władzy. W nowym systemie role miały się odwrócić, dotychczas uciskani mieli decydować o losie swych oprawców, istniejące dotychczas więzi społeczne zostały poddane bezwzględnej weryfikacji. Jedni ziemianie doświadczyli wsparcia od najbliższych sąsiadów, innych zaś spotkały poniżenia. Postawa, jaką reprezentowała matka mojej rozmówczyni wobec pracowników dworu i pozostałych mieszkańców wsi, niewątpliwie zaprocentowała w chwilach próby, wczesną wiosną 1945 r. Ona i jej rodzina nie zostały wygnane ze swojego majątku, który jednak przeszedł na własność państwa. W ciągu kilku miesięcy cała rodzina zdecydowała się opuścić rodzinne gniazdo i rozpocząć nowe życie w miastach południowej Polski<sup>7</sup>.

Biografia Barbary Gołajewskiej-Chudzikiewicz jest typową biografią ziemiańską<sup>8</sup>, wpisującą się w powszechne wyobrażenia o tej warstwie społecznej. Narratorka urodziła się 25 lutego 1923 r. w Bieganowie, w należącem do

---

<sup>6</sup> Geneza tego zjawiska sięga bezpośrednio dekretu PKWN z 6 IX 1944 r. o reformie rolnej. Jednocześnie należy mieć na uwadze, że poprzednie reformy rolne także ograniczały prawa ziemian. Zob. A. Lichorowicz, *Polskie reformy rolne 1920–1944 a ziemiaństwo*, [w:] *Dziedzictwo...*, Kraków 1996. Ponadto należy zauważyć, że sytuacja ziemian w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu różniła się znacznie w zależności od regionu i sprawowanej nad nim władzy okupacyjnej. Inna była na tzw. ziemiach wcielonych do III Rzeszy, gdzie początkiem zagłady ziemiaństwa jest rok 1939, inna w Generalnym Gubernatorstwie, inna zaś w strefie okupacyjnej sowieckiej. Zob. A. Łuczak, *op. cit.*

<sup>7</sup> Pani Barbara związała się z Krakowem, jej brat, Władysław Morstin (1924–2003), wyjechał do Wrocławia, a matka zamieszkała w Gliwicach.

<sup>8</sup> W jej biografii dają się zauważyć niemal wszystkie charakterystyczne elementy składające się na życie we dworze zarówno w okresie międzywojennym, jak i w czasie okupacji. Odnaleźć można również omawiane przez Marcina Chorążkiego sytuacje w jakich znajdowali się ziemianie w czasie wojny, i ich postawy.

rodziny Morstinów majątku w powiecie szczekocińskim<sup>9</sup>, pomiędzy Krakowem a Kielcami. Jak sama kilkakrotnie podkreślała, był to teren wyjątkowy, „gdzie życie i postęp się jak gdyby zatrzymały”. W takim otoczeniu wychowywała się do szóstego roku życia, kiedy już po śmierci ojca u niej oraz u brata stwierdzono początki gruźlicy i odtąd rodzina musiała dzielić życie pomiędzy majątkiem a wynajmowanymi willami w Zakopanem<sup>10</sup>. Dzieci uczyły się w domu. Barbara dopiero w wieku trzynastu lat weszła w struktury szkolne, stając się uczennicą elitarnego gimnazjum prowadzonego przez panie Szczuka w Rabce<sup>11</sup>. Po roku naukę kontynuowała w kieleckim gimnazjum im. św. Jadwigi aż do wybuchu wojny.

Czas okupacji narratorka spędziła w Bieganowie. Aż do wybuchu Powstania Warszawskiego i związanego z tym napływu uchodźców ze stolicy oraz wzrastającego nasilenia działalności rozmaitych formacji leśnych jej życie niewiele różniło się od tego, które wiodła przed wojną. Ten element stabilności był wspólny dla całego regionu, gdzie wojna nie doskwierała ludziom na co dzień tak mocno, jak w miastach. Młodzież stosownie do warunków uczyła się (Barbara zdała maturę w 1942 r.), bawiła i, podobnie jak i dorośli, by użyć określenia autorstwa Kazimierza Wyki, prowadziła życie na niby, konfrontując się z okupantem i jednocześnie prowadząc z nim swoistą grę<sup>12</sup>. W wojennej biografii mojej rozmówczyni pojawiają się niemal wszystkie elementy charakterystyczne dla życia ziemian pod okupacją. Było więc przechowywanie uchodźców z Poznańskiego, dalszej rodziny z dużych miast (m.in. z Wilna i Warszawy), potem także uciekinierów z walczącej stolicy. Była służba w AK i praca charytatywna w szpitalu, w charakterze sanitariuszki. Były również typowe zmagania ziemian z walczącymi w lasach oddziałami różnych formacji, którzy raz po raz zgłaszali się po kontrybucje. Kiedy wkroczyli Sowieci, pojawił się strach i niepewność przyszłości. Barbara nie czekała jednak na rozwój wydarzeń, tylko wybrała się na piechotę do Krakowa, by tam

<sup>9</sup> Bieganów – obecnie wieś w powiecie włoszczowskim (woj. świętokrzyskie).

<sup>10</sup> W Zakopanem wielu cierpiących na choroby górnych dróg oddechowych przechodziło rekonwalescencje m.in. dzięki służącemu ich zdrowiu górskiemu klimatowi. Równie popularnym uzdrowiskiem była Rabka.

<sup>11</sup> Gimnazjum działało w Rabce od 1926 r. W 1935 r. przeniosło się do nowej siedziby – willi o nazwie „Tereska”. Szkołę prowadziły trzy siostry: Irena, Krystyna i Zofia Szczuka wraz z matką Marią z Szadurskich Sroczyńską.

<sup>12</sup> K. Wyka, *Życie na niby*, Kraków 2010. O relacjach ziemian z okupantem hitlerowskim pisze również Marcin Chorążki, *op. cit.*, s. 286–287.

rozpocząć nowy rozdział swojego życia. Wiedziała, że chce kontynuować naukę na studiach, w tym sensie życie jej potoczyło się naturalnym biegiem, tyle że zamiast mieszkać w jednej z kamienic, należącej przed 1945 rokiem do rodziny<sup>13</sup>, znalazła miejscówkę w bursie i aby przeżyć, musiała pracować jako kelnerka w studenckiej stołówce. Szybko zaadaptowała się do nowych warunków, kapitał wyniesiony z domu procentował. Od razu rzuciła się w wir studiów, a potem pracy na Akademii Sztuk Pięknych<sup>14</sup>. Jak sama mówiła, dane jej było rozwijać się zawodowo w wyjątkowym środowisku, któremu wiele zawdzięczała. Kraków stał się jej domem, a jej charakterystyczna postać wpisała się w krajobraz miasta. Często można ją było spotkać w okolicach Rynku i ulicy Karmelickiej, zawsze w biegu, bo aktywna była do końca swojego życia. Mając skończone osiemdziesiąt pięć lat, jeździła na nartach, chodziła na piesze pielgrzymki do Częstochowy i uprawiała ogród. Zmarła 24 października 2014 r. w wieku 92 lat.

Wywiad z Barbarą Gołajewską-Chudzikiewicz nagrałem podczas trzech spotkań pomiędzy 18 a 20 kwietnia 2007 r. Kilka dni później spotkaliśmy się, by wspólnie oglądać zdjęcia, co stało się okazją do przywołania pominiętych w relacji wspomnień. W sumie nagraliśmy niespełna piętnaście godzin materiału, spisane potem na 152 stronach. Umówienie się na spotkanie z rozmówczynią nie było proste ze względu na jej liczne zobowiązania. Początkowo tego nie rozumiałem, ale jak się miało okazać, z powodu wywiadu wyrwałem rozmówczyni całe cztery dni z jej aktywnego życia. Ona zaś, świadoma wagi swoich wspomnień, nie mogła umówić się ze mną na zwykły wywiad i potem wrócić do swoich zajęć. Ta sytuacja wymagała od niej całkowitego zaangażowania. Na wyraźne życzenie pani Barbary spotykaliśmy się wieczorami. Przychodziłem do niej przez trzy kolejne dni na godzinę dziewiętnastą, a wychodziłem między pierwszą a drugą w nocy. Po moim wyjściu – jak mówiła po nagraniu rozmówczyni – najpierw śniła rozmaite wydarzenia ze swojego życia, a po przebudzeniu rozmyślała o nich przez cały kolejny dzień, aż do naszego wieczornego spotkania, przypominając sobie nowe opowieści. Nic więcej poza tym nie była w stanie robić. Opowiadanie o swoim życiu zupełnie ją pochłonęło, oddała cały czas pracy

---

<sup>13</sup> Przy ulicy Stolarskiej pod numerem 7 znajduje się dawny pałac Morstinów (Morsztynów), obecnie siedziba Konsulatu Generalnego Republiki Niemiec.

<sup>14</sup> Pani Barbara związana była z Wydziałem Form Przemysłowych krakowskiej ASP, którym przez wiele lat kierował jej drugi mąż, prof. Zbigniew Chudzikiewicz (1909–1991).

własnej pamięci. Dla mnie było to fascynujące doświadczenie przyglądania się procesowi przypominania. Każdego wieczoru pani Barbara siadała w fotelu z niewielką karteczką w ręku, na której miała wypisane hasłowo zagadnienia, w których ujmowała wszystko, o czym chciała mówić, tak by nie pominąć nic istotnego. Z przymkniętymi oczami wracała do opowiadanych przez siebie zdarzeń. Była bardzo skoncentrowana na tym, co mówi. Mimo wielości wspomnień, żadna historia się nie powtórzyła. Rozmówczyni doskonale panowała nad tym, co już powiedziała, jednocześnie opowieści sprawiały wrażenie spontanicznych, a wątki płynnie przechodziły w następne. Jej narracja była długa i szczegółowa do tego stopnia, że podczas opisu wyglądu dworu i jego otoczenia pani Barbara wzięła kartkę, długopis i zaczęła rysować rzut całego majątku. Mogłem zobaczyć, gdzie była kuchnia, gdzie salon, a gdzie urzędował administrator. Na planie zaznaczyła także budynki gospodarskie, a nawet klomby i pojedyncze drzewa. Pierwsze spotkanie zakończyła na 1945 r., który był symbolicznym końcem świata, jaki znała. Drugie spotkanie to opowieści o życiu w powojennym Krakowie, o studiach, o zmaganiach z peerelowską rzeczywistością i angażowaniu się w działania opozycyjne, wreszcie o radości z przystąpienia Polski do Unii Europejskiej – w sumie przeszło osiem godzin samodzielnej, w żaden sposób nie stymulowanej ani nie przerywanej narracji. Trzeciego wieczoru przeszliśmy do drugiego etapu wywiadu narracyjnego, w którym zadawałem pytania. Miały one na celu wyjaśnienie niezrozumiałych fragmentów relacji, rozwinięcie wątków, które zostały zasygnalizowane w toku opowieści oraz takich, które w ogóle się nie pojawiły, a wynikały z kontekstu<sup>15</sup>. Dzięki temu w ciągu kolejnych niespełna pięciu godzin przepracowaliśmy wspólnie całą biografię pani Barbary, co nie oznacza, że wyczerpaliśmy wszystkie wątki. Wręcz przeciwnie, z pamięci rozmówczyni wyłaniały się kolejne obszary, o które należałoby jeszcze zapytać, niestety nigdy później nie nadarzyła się ku temu okazja.

Najwięcej uwagi narratorka poświęciła swojemu dzieciństwu i życiu we dworze. Bardzo chciała podzielić się tym doświadczeniem z innymi, zgodziła

---

<sup>15</sup> Wywiad prowadzony był zgodnie z metodologią wywiadu biograficznego Fritza Schützeego, zaimplementowaną przez Ośrodek KARTA i stosowaną w większości projektów *oral history* realizowanych przez warszawską fundację. Więcej na temat samej metody: zob. K. Kaźmierska, *Wywiad narracyjny – technika i pojęcia analityczne*, [w:] *Biografia a tożsamość narodowa*, red. M. Czyżewski, A. Piotrowski, A. Rakuszevska-Pawełek, Łódź 1996, s. 35–44.

się na tak wyczerpujący maraton spotkań z przekonaniem, że robi to dla przyszłych pokoleń, że ocala w ten sposób pewien fragment polskiej historii. Tłem dla tych opowieści była przytoczona historia poznania się rodziców na jednym z frontów I wojny światowej oraz opowieści o środowiskach, z których się wywodzili<sup>16</sup>. Wiele uwagi poświęca również pobytowi w Kielcach, który przypadł na dwa ostatnie lata przed wybuchem wojny. W tym czasie narratorka była już na tyle dojrzała, że stała się wytrawną obserwatorką stosunków społecznych w mieście, w którego życie z jednej strony wsiąkała, z drugiej jednak traktowała siebie jako osobę z zewnątrz: wszak była ona, jak wielokrotnie podkreślała, panienką ze wsi. We wspomnieniach przedwojennych z wielką precyzją opisywała wszystko, co utkwiło w jej fotograficznej pamięci, starała się oddać klimat, jaki panował zarówno we dworze, jak i w prowincjonalnym miasteczku, jakim były Kielce. Żeby ten obraz był jeszcze pełniejszy, dopytałem ją również o smaki, zapachy, dźwięki, emocje, które rozmówczyni była w stanie przywołać.

Jeśli chodzi o okres okupacji, główną nicią narracji było podkreślanie owej specyfiki doświadczenia okupacji w tym konkretnym regionie i kontekście, jaki stanowił majątek i wieś. Jak już wspomniałem, był to charakterystyczny rys, który wyróżniał ziemian spośród innych grup społecznych. W ich przypadku prawdziwą traumę przyniósł dopiero rok 1945, z którego rodzina pani Barbary wyszła obronną ręką, mimo utraty całego majątku.

Mogłoby się wydawać, że na tym rozmówczyni zakończy swoją opowieść, przywołując zaledwie najważniejsze wspomnienia z okresu PRL. Nic bardziej mylnego. Okres tuż-powojenny opowiedziany został z równą dokładnością jak poprzednie etapy życia narratorki i stanowi świadectwo zaradności w wyjątkowo niekorzystnych warunkach, w jakich przyszło funkcjonować przedstawicielce warstwy programowo niszczonej przez nowe władze. To historia zmagania z szarą rzeczywistością i realnymi trudnościami, rozmówczyni wiele miejsca poświęciła studiom i pracy na ASP, a także relacjom małżeńskim i rodzinnym, wypoczynkowi i rozrywkom. Z braku czasu ledwie wspomniała o bujnym życiu towarzyskim w PRL-u, o związkach ze środowiskami „Tygodnika Powszechnego” i „Piwnicy pod Baranami”. Wiele miejsca poświęciła natomiast swojemu zaangażowaniu w „Solidarność”, w ruch pielgrzymkowy skupiony wokół klasztoru krakowskich

---

<sup>16</sup> Rozmówczyni wszystkie te opowieści znała z pamiętnika matki, która prowadziła zapiski od swojej wczesnej młodości w Petersburgu aż do śmierci męża w 1927 r.

dominikanów oraz w wybory w 1989 r. Działalność opozycyjna i społeczna wydała jej się ważniejsza od życia kulturalnego w Krakowie w tym czasie. Niestety nie było już nigdy okazji, by dopytać ją o te aspekty jej biografii.

Podczas ostatniego spotkania, które miało miejsce w ogrodzie pani Barbary, miałem okazję obejrzeć kilka albumów z rodzinnymi zdjęciami z czasów przedwojennych (album z fotografiami z czasów okupacji zaginął w ostatnich latach). Zachowane zdjęcia potwierdziły przekaz opowieści i jednocześnie stanowią świadectwo hierarchii wartości właściwej dla tej warstwy społecznej (pani Barbara podkreśliła, że kiedy wybrała się w pieszą wędrówkę do Krakowa w lutym 1945 r., w plecaku miała najpilniejsze przedmioty oraz albumy ze zdjęciami rodzinnymi).

Poniższy wybór wspomnień obejmuje lata przedwojenne oraz okres okupacji. Moim zamysłem było ukazanie w pierwszej kolejności tego świata, o którym narratorka tak bardzo chciała opowiedzieć. Fragmenty pochodzą głównie z części narracyjnej wywiadu, niekiedy uzupełnione o informacje z odpowiedzi na moje pytania, tak, by powstała spójna całość. Tekst zilustrowany jest fotografiami pochodzącymi z albumów rodzinnych rozmówczyni.

### **Relacja Barbary Gołajewskiej-Chudzikiewicz<sup>17</sup>**

Mam na imię Barbara i w ciągu mojego życia nabyłam trzy nazwiska. Pierwsze moje nazwisko po rodzicach brzmi Morstin. To jest rodzina polska o długim bardzo rodowodzie, o której pierwsze wiadomości pochodzą z XIII w., osadzona w Polsce południowej, chociaż później oczywiście różne gałęzie tej rodziny żyły w różnych miejscach Polski. Mój ojciec miał dwóch braci<sup>18</sup> – byli więc trzej bracia i były trzy majątki w obecnym powiecie włoszczowskim. Te trzy majątki można by umieścić w takim trójkącie między Nagłowicami Reja, Szczekocinami Kościuszki i Czarną – własnością hetmana Czarneckiego. Rzeczywiście takie centrum polskie. W dwudziestoleciu międzywojennym był to region bardzo cichy i w jakimś sensie chyba zacofany.

<sup>17</sup> Wywiad został nagrany w ramach projektu dokumentacyjnego „Zapomniani świadkowie XX wieku” realizowanego od 2006 r. przez Ośrodek KARTA i Dom Spotkań z Historią i zarchiwizowany pod sygnaturą AHM\_0277 w Archiwum Historii Mówionej DSH/OK w Warszawie. Nagranie dostępne jest również w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie.

<sup>18</sup> Alfred hr. Morstin z Raciborska h. Leliwa (1883–1971) oraz Ludwik Hieronim hr. Morstin z Raciborska h. Leliwa (1886–1966) – dramatopisarz, poeta, powieściopisarz, tłumacz.





Dwór  
w Bieganowie,  
1938 r.,  
fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
Chudzikiewicz.

Mój ojciec w czasie wojny jako carski poddany służył w armii rosyjskiej i jako młody człowiek z ogromną wadą wzroku został przyjęty do szpitala wojskowego. I ten okres, kiedy rosyjskie wojska walczyły w pierwszej wojnie z Niemcami, spędził w szpitalu, na dawnej granicy polskiej, w okolicach Smoleńska. Poznał tam dziewczynę, która była pielęgniarką wojenną, wolontariuszką. Była ona mieszczanką, wychowaną w Petersburgu. Jej ojciec<sup>19</sup> był kupcem pochodzenia niemieckiego o nazwisku Holst, a matka Rosjanką, której matka<sup>20</sup> była Angielką, więc o międzynarodowym jak gdyby pochodzeniu, ale wychowana na dziewczynę z dobrej, zamożnej, mieszczańskiej rodziny.

[Rodzice] pobrali się w tym szpitalu wojennym, chyba gdzieś w 1918 r.<sup>21</sup> Przeżyli całą rewolucję bolszewicką, zarówno w Petersburgu, razem z rodzicami mojej mamy, jak i w różnych innych miejscach Rosji, w których tułali się w czasie rewolucji. Próbowali wrócić ze swoim szpitalem wojskowym naokoło przez Władywostok do Europy, [ale] nie udało im się i zostali ujęci przez wojska bolszewickie. Jakiś czas spędzili na Syberii i wreszcie

---

<sup>19</sup> Osoba bliżej nieznaną.

<sup>20</sup> Osoba bliżej nieznaną.

<sup>21</sup> Ślub miał miejsce w Połocku, gub. witebska, obecnie na Białorusi, 17 IX 1917 r.

w końcu 1922 r., po wojnie polsko-bolszewickiej, zostali wymienieni jako jeńcy i tak przyjechali do Polski.

Zostali umieszczeni w małym majątku, który był własnością matki mojego ojca<sup>22</sup>, bardzo blisko większego majątku, w którym ona mieszkała razem z najstarszym swoim synem, Andrzejem Morstinem<sup>23</sup>. Nasz mająteczek nazywał się Bieganów i był dokupiony do tego dużego majątku, głównego majątku moich dziadków, jako folwark. Był tam dwór stosunkowo niestary, wybudowany przez poprzednich właścicieli po spaleniu starego drewnianego, w końcu XIX w. To był taki murowany budynek parterowy i miał charakter bardziej neoklasycyzy niż normalne, prawdziwe polskie dwory, które były z reguły drewniane.

Dwaj starsi bracia ojca zostali obdarowani majątkami dosyć dużymi. Pierwszy, to był ten najbliższy właśnie, przeznaczony dla najstarszego syna, a średni syn<sup>24</sup> otrzymał majątek Kwilina, który był 8 kilometrów od Bieganowa, duży z ogromnym pięknym lasem, ze stawami. Mój stryj, ten średni, miał trzy córki starsze ode mnie<sup>25</sup>. Potem się tak stało, jak to bywało w tamtych czasach, że stryj mój zginął na polowaniu. Został przypadkowo postrzelony przez swojego przyjaciela<sup>26</sup>, sąsiada, i moje trzy siostry zostały osierocone. Stryjenka<sup>27</sup> wyszła za mąż za innego sąsiada<sup>28</sup> i urodziła jej się czwarta córka, która była dokładnie w tym samym wieku co i ja, bo ja urodziłam się zaraz po przyjeździe moich rodziców z Rosji, na początku 1923 r.

Te dwa sąsiedztwa były jak gdyby oparciem dla moich rodziców, którzy po powrocie z Syberii nic nie mieli. Dom był nieurządzony, mająteczek nieduży. W zamyśle mojej babki było jednak sprawiedliwe wyrównanie dla mojego ojca, wymyśliła, że największą część drugiego majątku rodzinnego, który był na Wołyniu pod Krzemieńcem (majątek złożony właściwie prawie wyłącznie z lasów), że trzy czwarte tamtego majątku w Bereźcach<sup>29</sup> będzie należało do mojego ojca, a pozostała część będzie podzielona między dwóch starszych

<sup>22</sup> Pelagia hr. Tarnowska z Tarnowa h. Leliwa (1855–1931). Mieszkała w majątku Czaryż.

<sup>23</sup> Andrzej hr. Morstin z Raciborska h. Leliwa (1880–1938).

<sup>24</sup> Jerzy hr. Morstin z Raciborska h. Leliwa (1882–1918).

<sup>25</sup> Osoby bliżej nieznanne.

<sup>26</sup> Osoba bliżej nieznanne.

<sup>27</sup> Osoba bliżej nieznanne.

<sup>28</sup> Osoba bliżej nieznanne.

<sup>29</sup> Obecnie wieś w obwodzie tarnopolskim na Ukrainie.

synów. Tak też było do końca, to znaczy do momentu, kiedy w czasie drugiej wojny tamten majątek został za granicą i przepadł. Ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że przez ten cały czas ja się wychowałam w Bieganowie i mój brat też, pod opieką mojej mamy, jak gdyby nowej ziemianki, Rosjanki z Petersburga, która została polską ziemianką, ponieważ ojciec mój przeziębził się na polowaniu w roku 1926 chyba i zmarł na galopujące suchoty, jak się to wtedy mówiło, to znaczy na gruźlicę. Zostawił ją samą z dwojgiem dzieci i z tym małym, bardzo skromnym i niedochodowym majątkiem na głowie (moja mama nauczyła się wtedy mówić po polsku, bo do momentu śmierci mojego ojca oni mówili ze sobą po rosyjsku). Nasz majątek Bieganów był zadłużony i nie przynosił żadnego dochodu. Przez całe swoje dzieciństwo pamiętam, że były takie problemy, które mnie nie dotyczyły, bo byłam dzieckiem, ale moja mama rozmawiając z zaprzyjaźnionymi osobami opowiadała, jak to było. Że na przykład była zaproszona gdzieś na jakieś przyjęcie albo miała wystąpić gdzieś z jakąś bardziej oficjalną wizytą i wtedy łamała głowę, co włożyć na siebie, bo miała jedną sukienkę na co dzień, a drugą od święta. Bywało, że na te pantofelki nowe czy sukienki nie starczało. Wtedy mama pisała listy do administratora w Bereźcach i prosiła o przysłanie jej gotówki. On sprzedawał tam drewno i przysyłał jej gotówkę. Wtedy była wyprawa do miasta i mama cała szczęśliwa mogła sobie kupić jakieś kreacje.



Wieś Bieganów,  
1926 r.,  
fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
Chudzikiewicz.

Pamiętam też rozmowy, które ja słyszałam przez całe moje dzieciństwo między moją mamą a gronem sąsiadów i dwóch stryjów, którzy tworzyli razem tak zwaną radę rodzinną, ponieważ matka moja zrzekła się spadku po swoim mężu, a moim ojcu, na rzecz mojego brata i mnie. Była tylko naszą opiekunką i administratorem majątku. Moja mama wychowana w mieście z taką świadomością prawdziwie demokratyczną, która była dosyć rzadka w środowisku ziemian, uważała, że jeżeli ma pracowników, którym trzeba zapłacić, to wszystko co było dochodem ze sprzedanego zboża, torfu czy lasu, bo to były jedyne możliwości zdobywania pieniędzy, szło na zapłacenie długów i na wypłatę dla pracowników. Sąsiedzi patrzyli na nią ze zdumieniem, ale to była reguła. Myślę, że także ta postawa mojej mamy jako administratora wypłacalnego w stosunku do pracowników była powodem bardzo dobrych stosunków między pracownikami, między służbą, jak się wtedy mówiło, a właścicielem i to zaowocowało niewątpliwie już w późniejszych czasach.

Bieganów był miejscem dla mnie cudownym oczywiście. Przeżyłam bardzo szczęśliwe dzieciństwo w tym domu, w tym ogrodzie, w tym parku i w tym otoczeniu, które ten nasz dom tworzyło. To były łąki, las, w pewnej niewielkiej odległości pola i wieś, to było bardzo bliskie sąsiedztwo. W tym czasie przed wojną, w regionie środkowej Polski, zresztą chyba w całej Polsce dawnej, było tak, że dwory były otoczone parkiem i łączyły się ze wsią, która była w bardzo bliskim sąsiedztwie, ale i w pewnym jak gdyby oddzieleniu. Nasz dom był prawie w szeregu wiejskich zabudowań, wiejskich chałup. Bieganów był bardzo charakterystyczną, piękną polską wsią, ulicówką, to znaczy wieś była rozbudowana wzdłuż jednej drogi po obu stronach i w środku mniej więcej jednej strony już się zaczynał dwór.

W naszym domu w czasie mojego dzieciństwa mieszkała moja mama, dwoje dzieci, to znaczy mój brat i ja, nasza opiekunka<sup>30</sup> – jak byliśmy malutcy, to była taka niania, a potem pani wykształcona, która z nami prowadziła lekcje, ponieważ do szkoły nie było gdzie chodzić; administrator<sup>31</sup>, czasami był też jakiś pomocnik administratora, który prowadził buchalterię dosyć prostą, i gospodyni<sup>32</sup>, która była kucharką, a jej córki były pokojówkami. Dom był rodzinny, trudno właściwie sobie to dzisiaj wyobrazić.

---

<sup>30</sup> Osoba bliżej nieznaną.

<sup>31</sup> Osoba bliżej nieznaną.

<sup>32</sup> Osoba bliżej nieznaną.

Szybko jednak zdarzyło się tak, że zmuszeni byliśmy dzielić nasze dzieciństwo między tę równinę kielecką i góry. Po śmierci mojego ojca lekarze stwierdzili, że my, to znaczy mój brat i ja, mamy początki gruźlicy płuc. Było to dosyć groźne i ci lekarze powiedzieli mojej mamie, że jeżeli chce nas wychować na zdrowych ludzi, to musi nas wywieźć do Szwajcarii. Moja mama nie miała dosyć na to pieniędzy, wobec tego stryjowie, którzy przyjaźnili się z nią, poradzili jej, żeby wywiozła nas do Zakopanego. Zamieszkała tam w bardzo eleganckim pensjonacie, który się nazywał Marilor<sup>33</sup> i próbowała się zorientować, jak to zrobić, żeby nas tam wywieźć na dłuższy czas. Mój brat nic nie pamięta z tego czasu, chyba miał trzy lata, ja może miałam cztery i pół. Pamiętam tylko takie eleganckie towarzystwo, moją mamę zawsze pięknie ubraną na wieczór, jakieś światła elektryczne, które były dla nas zdecydowanie egzotyczne, bo w Bieganowie elektryki nie było. I właściwie tyle... Ale mama szybko się zorientowała co ma robić i wynajęła willę pod samą Gubałówką. To była taka typowa góralska willa, właściwie dom – typowy góralski dom. Nazywała się „Odrobinka”, była niesłychanie ciemna, bo bale drewniane przez górali używane do budowy domów były nasączone krwią bydłą, co powodowało, że to drewno było czarniawe takie, brunatne. Ten dom był złożony z małych pomieszczeń, czyli nazwa „Odrobinka” była bardzo właściwa, i znajdował się pod samym sanatorium „Odrodzenie”, które stoi do dzisiaj zresztą. Myśmy się bawili na łące, na której zbudowali później kolejkę. Przez kolejne trzy lata mama wywoziła nas do Zakopanego do „Odrobinki”<sup>34</sup>, a przez następne trzy lata wynajęła inną willę pod samą Krokwią<sup>35</sup>, od takiego literata, pana Sztaudyngera<sup>36</sup>, który przyjeżdżał tam tylko na dwa miesiące letnie, a resztę, całe dziesięć miesięcy myśmy tam mieszkali. W sumie sześć lat spędziliśmy w Zakopanem i ja żałuję bardzo, że byłam za mała, żeby zdawać sobie sprawę, w jakim środowisku się obracała moja mama. To był czas, w którym Zakopane

<sup>33</sup> Pensjonat Marilor wzniesiony w 1912 r. należał do rodziny Szczeniowskich. Po II wojnie światowej najpierw był użytkowany jako dom wczasowy ZMP, następnie stał się siedzibą Liceum Plastycznego im. Antoniego Kenara. Od 2001 r. ponownie znajduje się w nim hotel.

<sup>34</sup> Willa „Odrobinka” (1900 r.), własność prywatna.

<sup>35</sup> Willa „Koszysta” zbudowana w 1904 r. była własnością rodziców poety Jana Sztaudyngera, który na stałe zamieszkał w niej dopiero w latach 1955–1970. Obecnie pensjonat jest prowadzony przez córkę literata.

<sup>36</sup> Jan Sztaudynger (1904–1970) – polski poeta i satyryk.

było ośrodkiem bardzo wysokiej kultury polskiej, tam przyjeżdżali literaci, ale nie tylko, różni artyści i muzycy. Moja mama była nie w samym centrum może, ale cały szereg osób przychodził ją odwiedzać i ona też brała udział w jakichś spotkaniach, a to z Szymanowskim<sup>37</sup>, a to z Makuszyńskim<sup>38</sup>. Bardzo szczęśliwie, nasze zdrowie wyprowadzone zostało na prostą i już tylko jakieś tam ślady mieliśmy w płucach, które były odczytywane w późniejszych czasach, ale rzeczywiście zostaliśmy wyleczeni z tej początkującej gruźlicy. A kontakt z górami chyba zaważył na moim życiorysie, bo później jak dorosłam, ciągnęło mnie do Zakopanego.

Wykształcenie moje i mojego brata było w dzieciństwie takie jak wszystkich dzieci, to znaczy myśmy przechodzili przez program szkoły podstawowej, o którym moja mama jakoś tam była poinformowana, jak to ma być, kupowała podręczniki i myśmy się uczyli, mieliśmy codziennie lekcje z naszymi paniami nauczycielkami. Natomiast później, jak byliśmy w Zakopanem, w gruncie rzeczy przez sześć lat to też uczyliśmy się z podręczników, które były obowiązujące w szkole podstawowej i chodziliśmy na koniec roku na egzamin eksternistyczny do szkoły w Zakopanem, takiej góralskiej szkoły, która tam była, i zdawaliśmy jakieś przedmioty nas obowiązujące: rachunki, język polski, historię. To się skończyło w roku 1936, jak ja miałam lat trzynaście, kiedy moja mama oddała mnie do drugiej klasy gimnazjum w Rabce. Ja przeżyłam szok wyjścia z domu i internat, ale właściwie bardzo się wciągnęłam w to życie, bo przecież do tej pory nigdy nie miałam żadnych koleżanek. Było to dla mnie wielkie przeżycie i pamiętam to jako takie pierwsze doświadczenie społeczne. Po tym roku mama wynajęła mieszkanie w Kielcach, sama dojeżdżała z Kielc do Bieganowa, żeby czuwać nad majątkiem i domem, a myśmy chodzili już w mieście do normalnych gimnazjów. Ja trzecią i czwartą klasę gimnazjum, a mój brat drugą i trzecią, przeżyliśmy w Kielcach. To też było interesujące, bo pobyt w Kielcach dla takich młodych nastolatków był już rzeczywistością całkowicie inną niż nasz dom na wsi.

Myśmy tam wtedy mieszkali z panią, która była bardzo nietypową osobą, pełniącą funkcję naszej opiekunki. Pani Wiera Wołkowicka była osobą szczególną. Była to pani, która była Polką, ale chyba wychowaną w Rosji, w każdym razie wyszła za mąż za Polaka. Ona nie miała zawodu szczególnego, nie miała swojego domu, nie miała żadnego majątku ani nic i po

---

<sup>37</sup> Karol Szymanowski (1882–1937) – polski kompozytor.

<sup>38</sup> Kornel Makuszyński (1984–1953) – polski prozaik, poeta i felietonista.

śmierci swojego męża pełniła funkcję takiej pani opiekunki. Mówiła bardzo dobrze po francusku, mówiła bardzo dobrze po rosyjsku. Była przystojna, zupełnie inna niż panie z ziemiaństwa, była panią z miasta na pewno. To była sympatyczna i dobra osoba, która była jednocześnie – moim zdaniem – absolutnie niekompetentna jako wychowawczyni kilkunastoletnich dzieci ziemiańskich, ale myśmy na tym tylko korzystali.

Z Władkiem miała na samym początku łatwiej, dlatego że on zachorował na szkarlatynę i mama go zabrała do Bieganowa i tam leczyła, jako wykształcona pielęgniarka, trwało to parę tygodni. Dlatego ona miała tylko mnie, dawała mi lekcje francuskiego, to było zawarte w kontrakcie. Ona miała dobrą metodę, bo rozmawiała ze mną po francusku, ja nie miałam wyjścia i musiałam się uczyć. Znalazłyśmy wspólny temat, który mnie tak podniecał, że się bardzo szybko nauczyłam dyskutować po francusku przy jej udziale. Zanim mama nie przyjechała z Władkiem po chorobie, poczułam się całkowicie niezależna. Jakoś się osadziłam w szkole z dobrą opinią po tamtej dobrej szkole [w Rabce] i przestałam się za bardzo przejmować nauczaniem. Zająłam się natomiast czytaniem w każdej wolnej chwili. To były Kielce, więc były wypożyczalnie książek i ja chodziłam regularnie po szkole do tych wypożyczalni i wymieniałam książki. Pamiętam, że wtedy opanowałam całego Maya<sup>39</sup>. Czytałam jedną książkę po drugiej, nie ucząc się zupełnie, to znaczy nie przygotowując do lekcji. No i niestety dało to efekt. Pani Wiera w ogóle o tym nie wiedziała, ja siedziałam z nosem w książkach, a jakie to były książki, to jej specjalnie nie interesowało, to było чудо. I na pierwszej wywiadówce jesiennej w połowie pierwszego półrocza to wyszło na jaw, bo ja miałam z pięć dwój albo sześć i to był szok także dla mnie. Myślałam, że jakoś się uda, ale się nie udało. Wtedy już mama przyjechała, też była zaszokowana, a ja byłam zawstydzona i przejęta. Musiałam nadrobić w tych następnych miesiącach, żeby wyjść z dwój, i więcej takiego okresu w życiu nie miałam, ale francuski opanowałam dosyć dobrze. Więc to była nasza Wiera. Tak jak przyszła, tak zniknęła z naszego życia, nie mam pojęcia gdzie, ale była postacią ciekawą.

Życie w Kielcach było też zupełnie inne. Kielce były miastem biednym, ale miały taką specyfikę, którą Żeromski<sup>40</sup> opisał w *Szyfowych pracach* bardzo dosłownie. I muszę powiedzieć, że ja mam niesłychanie bliskie

---

<sup>39</sup> Karol May (Karl Friedrich May, 1842–1912) – powieściopisarz niemiecki.

<sup>40</sup> Stefan Żeromski (1864–1925) – polski prozaik, publicysta i dramaturg.

158



Nina Morstin,  
1925 r.,  
fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
-Chudzikiewicz.

doświadczenia do tego, co napisał Żeromski. Kielce były miastem polsko-żydowskim w stosunku chyba jeden do jednego, jeżeli Żydów nie było więcej niż Polaków. Były zbudowane na takiej osi, jaka do tej pory jest: od dworca jest jedna ulica Sienkiewicza, która tak schodzi w dół trochę, a potem się podnosi pod górę. I to była oś miasta, która dzieliła je na część żydowską, patrząc od dworca po lewej stronie – to były dzielnice zamieszkane przez rodziny żydowskie, a na prawo przez rodziny polskie. I był tam taki ciekawy zwyczaj. Mianowicie ludzie pracowali w normalnych godzinach pracy, dzieci były w szkołach, a po południu odbywało się coś w rodzaju *corso*, jak



w południowym mieście. Tą ulicą, tą osią miasta przechadzały się po chodnikach dwie społeczności, po lewej stronie żydowskie rodziny i młodzież żydowska, po prawej stronie uczniowie gimnazjów, nie-Żydzi, Polacy. Te dwa strumienie nie mieszały się. Oczywiście, jeżeli trzeba było przejść do sklepu, to tak, nie było żadnej wrogości, ale była rozdzielczość taka.

Przy sześćdziesięciu tysiącach mieszkańców było jedenaście gimnazjów i liceów, były trzy albo cztery gimnazja państwowe, świeckie, do tego były dwa gimnazja biskupie, żeńskie i męskie. Żeńskie imienia królowej Jadwigi, męskie – świętego Stanisława Kostki. Mój brat chodził do Kostki, a ja chodziłam do Jadwigi. Biskupie, to znaczy kuria się nimi opiekowała i chyba je fundowała w jakiś sposób. I oprócz tego było jeszcze gimnazjum handlowe, gimnazjum krawieckie, dwa – to były żydowskie gimnazja. A oprócz tego w państwowych gimnazjach byli również Żydzi, a nawet w tych biskupich też. W mojej klasie na pewno były dwie Żydówki, o których wiadomo było, że są Żydówkami. To były bardzo dobre szkoły. Chcę powiedzieć, że cała moja świadomość społeczna, historyczna, no i w jakimś sensie obywatelska, została wyniesiona z tych trzech lat mojej szkoły. Tylko trzy lata przedwojennej szkoły! To była szkoła, która absolutnie dawała podstawy nam, jako obywatelom odzyskanego po zaborach państwa polskiego. Wszystkim nauczycielom zależało na tym, żeby ich doświadczenia, ich radość, ich zachwyty wręcz tym, że Polska jest niepodległa, przenieść na te dzieci. I przenosili. Mnie to naprawdę zbudowało, pomimo że to trwało tak niedługo.

W efekcie ja dożyłam lat szesnastu, jak się zaczęła druga wojna<sup>41</sup> i zmienił się świat znowu o 180 stopni dla nas. Szesnaście lat to przed wojną było jeszcze dzieciństwo, takie już poważniejsze dzieciństwo, ale w porównaniu z naszymi obecnymi dziećmi, które mają lat szesnaście, to myśmy byli z jednej strony bardziej dziecinni, a z drugiej strony już mając lat szesnaście każde następne miesiące to były jak lata, w sensie doświadczenia. My w czasie wojny dojrzewaliśmy bardzo szybko.

\* \* \*

Powiedziałem już, że mieszkaliśmy w stosunkowo niewielkim gronie rodzinnym, natomiast pamiętam doskonale rzeczy społeczne jak gdyby. Zostałam wychowana jako panienka ze dworu w otoczeniu służby dworskiej. To był taki świat, o którym dzisiaj nikt chyba nie ma pojęcia, coś zupełnie

---

<sup>41</sup> Chodzi o II wojnę światową (1939–1945).

niezwykłego. Ja do dzisiaj pamiętam – takie nawet zawsze miałam trochę dziwne uczucie, jak do mnie mówili „panienko” czy „panno hrabianko” dorośli ludzie, nasi pracownicy. Kiedy ci dorośli ludzie zdejmowali czapkę przed taką małą dziewczynką, już wtedy wydawało mi się dziwne. No ale tak było przyjęte, więc ja się nie broniłam ani nie buntowałam. Ale zapamiętałam sobie jakoś tak, że to jest coś dziwnego. Pamiętam jeszcze jedno takie zdarzenie – jeszcze za życia mojej babki (był to też czas, kiedy moja babka przeprowadziła się do naszego domu, przekonawszy się do tego, że moja mama jest osobą godną zaufania i sympatii), mogłam mieć może pięć, sześć lat – nasz kamerdyner<sup>42</sup> w jadalni nakrywał do stołu, a ja normalnie, jak dziecko, jak dziewczynka, zaczęłam pomagać i coś roznosić: talerze, nakrycia i takie różne rzeczy. I wtedy moja babka, która to zauważyła, dała mi klapsa i powiedziała: „Nie wolno ci się zajmować tym, co robią oni. To jest ich obowiązek, a nie twój”. Przyjęłam to do wiadomości, bo nie miałam wyjścia, ale potem jak sobie przypomiinałam o tym, to właśnie było to takie dziwne uczucie, że moja mama nigdy takich uwag by mi nie robiła. Uważałyby prawdopodobnie, że bardzo dobrze, że ja się wciągłam w takie obowiązki domowe, a żeby pomóc komuś, współpracować z kimś, no to świetnie, to właśnie bardzo dobrze.

Za wczesnego mojego dzieciństwa, na pewno jeszcze za życia mojej babki, był u nas kamerdyner. Służba domowa to była: gosposia, kucharka, ze dwie pokojówki, które pomagały, po prostu sprzątały wszystko i podawały do stołu, ale był też kamerdyner. On był szefem oczywiście tej służby. Moja babka go traktowała tak, jak się traktuje służbę w powieściach różnych – z góry, głównie wymagała. Moja mama była z nim w stosunkach o wiele bardziej demokratycznych, ale on był szefem tych pomocników naszych, więc on miał swoje obowiązki i do obowiązków jego, jako mężczyzny, należało czyszczenie lamp naftowych. To zajęcie brudne i źle pachnące, mówiąc najdelikatniej. On roznosił codziennie lampy o zmroku i każdy pokój miał przydział jednej lampy. Moja mama miała taką, którą lubiła i przy której sobie czytała wieczorem przed zaśnięciem, dzieci miały jedną lampę, która stała gdzieś pośrodku i wszędzie było prawie ciemno. Później, jak byliśmy trochę starsi, ja jako starsza miałam taki lichtarz na świeczkę i miałam układ z moim bratem, że jak on się budził i chciał na przykład swoją potrzebę załatwić, on się bał po ciemku, wobec tego miał przeciągnięty taki

---

<sup>42</sup> Osoba bliżej nieznaną.

drucik z dzwoneczkiem do mnie, naciskał – to było elektryczne urządzenie, ale takie domowe bardziej – budził mnie, ja zapalałam świecę, wtedy on sobie radził już przy świetle. To myśmy sobie zrobili, jak już byliśmy trochę sprytniejsi. Poza tym były latarki, ja byłam czytelnikiem i odkąd się nauczyłam czytać, to czytałam w każdej możliwej chwili wolnej, a najlepsze to było czytanie wieczorem, już przed spaniem. Oczywiście nam gaszono lampy i nie należało zapalać lampy do czytania, ale miałam latarkę i pod kołdrą przeczytałam mnóstwo cudownej, wspaniałej literatury dla młodych osób. W czasie wojny niestety nafty nie było i nie mając w dalszym ciągu elektryczności paliło się za pomocą karbidówek. Karbidówka to była potworna, wstrętna lampka, która dawała nawet dosyć jasne światło, ale smród był tak straszny z tego karbidu zalanego wodą, że myśmy wszyscy nienawidzili tego.

Nie było kanalizacji – dziś nie do wyobrażenia. Ale ja jestem wychowana na lampie naftowej, świecy i bez kanalizacji do dwudziestego drugiego roku życia. Jakoś to się udawało... Były dwa pomieszczenia, jedno w tej części, gdzie był korytarz, spiżarnia i kuchnia, to było dla pracowników dla służby domowej, a drugie było w tak zwanej łazience. W naszym dworze, gdzie nie było nie tylko kanalizacji, ale i wodociągów w ogóle, myśmy się myli przy pomocy wody przywożonej beczką ze studni. Łazienka miała



Jan Morstin,  
1926 r.,  
fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
-Chudzikiewicz.

wannę i tam się kąpało dwa razy w tygodniu, ale w każdym pokoju była umywalka z miednicą, z wiadrem na wodę, już zużytą, brudną wodę do wylania z miednicy po umyciu się, i z dwiema konewkami. W jednej konewce była zimna woda zawsze dopełniana, żeby jej nie brakło, a rano i wieczorem pokojówki roznosiły dzbanki z gorącą wodą, grzaną w kuchni w kotle, na blasze i przykrywały je zawsze – te z ciepłą wodą – przykrywały ręcznikiem, żeby nie parowały i nie stygły. Takie było mycie wieczorne, no a rano było na zimno. Myśmy byli do tego przyzwyczajeni, uważaliśmy, że to jest normalne życie. Były też takie schodki w narożniku do sporego pomieszczenia, w którym stały szafy z ubraniami, i tam był wydzielony mały kiosk, jak gdyby osobno, i to był wucet. Ten wucet był zalewany wodą z beczki, to znaczy z wiadra, i wynoszony potem. Stróż miał obowiązek oczyszczania wucetów wieczorami i pilnowania obejść gospodarczych i samego otoczenia dworu. Chodził z dwoma psami i wykonywał tę brudną robotę. W ogóle dom był pełen psów, to były psy najczęściej myśliwskie, wyżły, setery, duże psy. W stajni były psy takie, które się z końmi chowają i mieszkają razem z końmi, to były z reguły foksteriery, takie białe foksteriery z ciemnymi uszami i pyskami. I była cocker spanielka mojej mamy, to też jest myśliwski pies używany do polowania na ptaki wodne. Psy mieszkają wszędzie, jestem wychowana między psami i do końca mojego życia będę kochać wszystkie możliwe psy.

Jak chodzi na przykład o sprawy gospodarcze majątku, to ja się w tym nie orientowałam wtedy zupełnie. Pamiętam tylko jak przyjeżdżali ci panowie sąsiedzi, zaprzyjaźnieni z moją mamą i stryjowie, Alfred i Ludwik spod Krakowa<sup>43</sup>. Oni wspomagali mamę fachowo, no i w ogóle pomagali jej w jakichś decyzjach dotyczących naszej przyszłości.

Natomiast jak chodzi o takie powiedzmy towarzyskie kontakty, to one się odbywały między ziemianami. Moje siostry stryjeczne i moja rówieśniczka, czwarta przyrodnia siostra tamtych<sup>44</sup>, to były nasze stałe przyjaciółki i sąsiadki. Myśmy do Kwiliny, te osiem kilometrów, bardzo często jeździli, tak jak i one przyjeżdżały do nas. W Kwilinie było bardzo dobrze, bo to był duży dwór, istniejący zresztą do dzisiaj, tam był duży park i kort

---

<sup>43</sup> Obaj bracia mieszkali w majątku Pławowice (obecnie powiat proszowicki, woj. małopolskie). W latach międzywojennych zorganizowano tam dwukrotnie zjazd poetów, w którym uczestniczyli m.in. Julian Tuwim, Jarosław Iwaszkiewicz, Leopold Staff, Maria Pawlikowska, Jan Lechoń i Antoni Słonimski.

<sup>44</sup> Osoba bliżej nieznaną.

tenisowy, więc się tam grało i w tenisa, i w siatkówkę. Moja mama jeździła w odwiedziny do sąsiadów i sąsiedzi przyjeżdżali do nas. Telefonów nie mieliśmy oczywiście żadnych, wobec tego [działo się to] bez specjalnej korespondencji, czasami tylko, jeżeli były jakieś zebrania szczególne, to była korespondencja listowna, albo przez pocztę albo przez posłańca. Bywało, że jak, powiedzmy, się było we dworze i słychać było taki charakterystyczny chrzęst uprzęży na alei, która prowadziła od bramy do dworu, to wiadomo było, że ktoś jedzie, no i to była sensacja od razu, podniecenie, w zależności od tego, kto przyjeżdża.

Były też bardzo uroczyście obchodzone święta, wiadomo: Boże Narodzenie i Wielkanoc, jak to we dworze, jak to na wsi. W dużym salonie, wysokim na trzy i pół metra stawała choinka od podłogi do sufitu, wycięta w naszym lesie, odpowiednio pięknie wybrana, a potem ustrojona. I my, jako dzieci, wierzyliśmy w to, że [prezenty] to aniołki przynoszą oczywiście. Zabawki się robiło z papieru, z bibułki, tak jak to przed wojną. Prezenty były pod choinką w absolutnej tajemnicy układane i myśmy to bardzo przeżywali. Na Wielkanoc zaś uginały się stoły od jedzenia. Rozciągało się stół, przestawiało się z jadalni do salonu, bo salon był większy. Ten stół był zastawiony – on miał ze cztery, pięć metrów powiedzmy – i był zastawiony wszystkim, co się dało, robionym w domu. To znaczy, były pieczone mięsa, były wędliny świeże wszelkiego gatunku, były pieczywa, oczywiście baby i placki różne. Rzeżucha była na takich foremkach, jak babki, na płaskich natomiast był zasiewany owies, który miał pięć czy sześć centymetrów zieleni, takie runo zielone, i w to były wkładane pisanki kolorowe. Oprócz tego stołu był służbowy stół, który był troszkę skromniejszy, ale niewiele. I był taki sposób święcenia, że oczywiście tego się nie wiozło do parafii, tylko ksiądz jeździł po wszystkich kolejnych dworach i święcił te wielkie stoły. Do Bieganowa przyjeżdżał na końcu i zostawał, bo cenił sobie to święcone, które było w naszym domu. Przyjeżdżali czasami stryjowie nasi, zawsze byli jacyś goście z rodziny. I kiedyś tak było, że przyjeżdżali ci stryjowie, a ksiądz proboszcz<sup>45</sup> nie przyjeżdżał, bo go tam gdzieś zatrzymali dłużej w sąsiedztwach. I jeden ze stryjów już nie mógł wytrzymać, tylko chodził na około, zresztą obaj chodzili naokoło, jak lwy głodne, a nie wolno było nic ruszyć zanim nie poświęcone. Na środku przeważnie był jeszcze prosiak upieczony. My dzieci tego prosiaka nie mogliśmy w ogóle zjeść, bo on był

---

<sup>45</sup> Osoba bliżej nieznaną.

cały, ale to było podobno wspaniałe danie faszerowane kaszą gryczaną. No i kiedyś mój stryj nie wytrzymał, rozejrzał się, myśmy to podpatrzyli zza drzwi, tak chodził, chodził, chodził, w pewnym momencie nie wytrzymał i ukrecił taki chrupiący, przypieczony ogonek i poleciał z tym za grubą lipę i zjadł. A myśmy wtedy mieli na niego haka. To był uroczy zresztą, kochany bardzo stryj, poeta, i on taki grzech popełnił. Na drugi dzień był oczywiście śmigus-dyngus i tutaj pole do działania dla młodych ludzi we dworze było ogromne i do tego też trzeba się było przygotować. W zależności od wieku, w jakim byliśmy, to przybierało różne formy. Jak byliśmy mali, to myśmy się oblewali jak małe dzieci, normalnie, i patrzyliśmy jak się oblewają dziewczyny i chłopaki, młodzi mężczyźni ze służby dworskiej i na wsi, bo to było do oglądania i to było wspaniałe i wielce interesujące. Natomiast jak już podrośliśmy trochę, mieliśmy po kilkanaście lat wszyscy, to stopień i natężenie tych strumieni wody był coraz wyższy. I pamiętam jedne takie święta, musiały być pogodne i ciepłe, kiedy oblewanie odbywało się w każdym pokoju, przygotowane były konewki i wiadra z wodą. Studnia była obłożona. I jak ktoś wylał w pokoju wiadro wody albo konewkę wody, to wszystko to zostawało na podłodze. Tylko w salonie mama starała się nas jakoś uprzedzić, że ona nie chce, żebyśmy zalewali salon, ale we wszystkich mieszkalnych pokojach, które były naokoło, to woda stała na podłodze. Potem się to wylewało przez próg, przez werandę do ziemi. To była wielka radość, dorośli się też cieszyli, a młodzież miała naprawdę wielką, wspaniałą zabawę. Na wsi odbywało się to samo, były studnie, nie w gospodarstwach tylko w środku. To była taka ulicówka i w środku, w dwóch albo trzech miejscach, były takie studnie z żurawiem, do których przychodzili gospodarze wiejscy i przynosili wodę w wiadrach do swoich domów. One były oczywiście obłożone i to było miejsce gonitwy za dziewczynami. Normalnie, tak jak w Polsce powinno być.

Poza tym były także obchodzone Zielone Święta, wszystko było ustrojone gałązkami zielonymi, przeważnie brzożowymi. Były zawsze dwa dni Zielonych Świąt (i to jeszcze po wojnie były w Polsce dwa dni), niedziela i poniedziałek. One były zielone rzeczywiście, wtedy się ustrajało wszystkie wyjściowe drzwi, w każdym domu na wsi i we dworze. Szybko wędła [ta ozdoba], ale nie szkodzi. To samo było w kościele parafialnym, na mszach świętych cały kościół był wyzeleniony aż na zewnątrz. To były naprawdę zielone święta. Były jeszcze takie uroczystości, jak na przykład nabożeństwa majowe. Przed bramą wjazdową do nas, w środku wsi była taka kapliczka z figurką Matki Bożej, mała, otoczona takim małym płotkiem, zawsze umajona, jak to się wtedy mówiło, to znaczy ozdobiona albo zielonymi gałązkami, albo jakimiś kwiatami. W maju to już był

Barbara Gołajewska-Chudzikiewicz, Świat, którego już nie ma



Nina Morstin z dziećmi,  
Barbarą i Władysławem,  
na ganku w Bieganowie,  
1929 r., fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
Chudzikiewicz.

jeden wielki ołtarz zrobiony i co wieczór schodziły się kobiety i śpiewały pieśni maryjne głośno bardzo, co było takim tłem muzycznym dla każdego wieczoru, przez cały miesiąc maj. Zawsze tak było i to bardzo piękne. Wszystkie te maryjne pieśni to ja pamiętam z tego czasu jeszcze.

No więc, były te uroczystości i potem była jeszcze jedna wielka uroczystość, o której na pewno już nikt nie wie – dożynki. Tego się nie da opisać, co to była za impreza towarzysko-kulturalna! W sierpniu, jak się kończyły żniwa, moja mama wynajmowała tak zwaną podłogę, to znaczy taki podest drewniany, i muzykę, czyli orkiestrę. Do tego były ogromne zapasy kielbasy, ogórków kiszonych lub małosolnych, kiszonej kapusty albo bigosu i oczywiście wódka. Potem przychodził pochód. Pochód szedł parami, na przodzie szły przodownice, dziewczyny w regionalnych strojach, a jakże! I niosły tak zwany wieniec – to było takie rusztowanie z patyków czy z trzciny. Na tym były umocowane kłosa zboża, wszystkich zbóż możliwych, kwiaty jakies i wstążki. To wszystko szło i przychodziło pod ganek. Na ganek wychodziła rodzina: moja mama, pan administrator, my dzieci, potem nasi goście ewentualnie i cała nasza służba dworska. Oprócz tych dwóch przodownic przychodziła jeszcze hierarchia gospodarcza, był polowy i karbowy, jeden zarządzał pracą na polu, drugi w podwórzu. I przychodzili tacy, co strzelali z bicza. To byli fornale z reguły, oni zawsze mieli baty, bo fernal to jest pracownik, który ma pod opieką czwórkę koni roboczych i tą swoją czwórką się opiekuje, karmi, pilnuje i oporządza, i ta czwórka wozi lub orze, lub uruchamia wszystko, co potrzeba. Ci fornale mają normalne baty i to jest ich narzędzie pracy, ale na dożynki przychodzili ze specjalnymi batami. Stawali i robili kanonadę na początek i na koniec, to jak strzały z karabinu dosłownie były, koncert strzałów z batów na cześć państwa. Potem dziewczyny śpiewały kuplety i kuplety szły z dowcipami na państwa i na tych swoich, głównie majstrów i kolegów różnych z pracy, wzajemnie wierszowane i śpiewane. Potem był koncert ze strzelaniem i na koniec oni wręczali wieniec mojej mamie. Mama otwierała bal, orkiestra zaczynała grać, no i od razu szła konsumpcja, picie. Zabawa była przez cały wieczór do północy i to obowiązkowo, rok w rok. Mama moja się cieszyła strasznie, pracownicy lubili mamę, mieli do niej szacunek i sympatię. Mama z nimi rozmawiała, jak sąsiadka z sąsiadem. Było kilku zamożniejszych gospodarzy i oni byli ważniejsi, mieszkali zresztą naprzeciwko dworu, reszta to była już raczej biedota. Ze wsią w ogóle było tak, że ta społeczność wiejska to była złożona z gospodarzy i ludzi bez ziemi, którzy pełnili funkcje pomocnicze, wynajmowali się do pomocy, do pracy. Jak chodzi o teren pól, pastwiska dworskie



i wiejskie, pola wiejskie i dworskie i las czy łąki powiedzmy, to wszystko było rozdzielone. Wiadomo było, że to jest wiejskie, a to jest dworskie. U nas wieś była chyba średnia, jak ja się orientuję, nie za duża i nie za mała. Chałupy były piękne, ja potem naprawdę już tak pięknych polskich chałup niewiele widziałam. Ale z tych sąsiednich naszych wsi, powiedzmy w sąsiedztwach tych naszych ziemiańskich dworów, nie było nigdzie tak pięknej wsi jak nasza, właśnie takiej klasycznej ulicówki i takich pięknych chałup bielonych ze wspaniałymi strzechami. Ponadto ludzie mówili przepięknym dialektem. Takiej polszczyzny wiejskiej jak tam, jaką mam w uszach od dzieciństwa, to ja nie spotykałam nigdzie indziej. Oczywiście były dialekty szczególne, tam góralski jakiś, taki czy inny, ale taką polszczyzną, jaką mówili ci chłopcy tu z kieleckiego, ze środka Polski... No właśnie, od Reja dosłownie.

Były też chyba ze dwie rodziny, o ile sobie przypominam, żydowskie. Z tym że to byli biedni Żydzi, to były biedne rodziny, bo nie mieli ziemi. Mieszkali w jakichś takich chałupach, ale dosyć nędznych. I któraś z tych rodzin miała sklepik. Ten sklepik był dosłownie naprzeciwko naszego podwórza. I takie półki jakieś krzywe tam były. Tam się kupowało, z tego co ja wiem, bo myśmy tam nie chodzili, myśmy mieli we dworze, ale czasem lepy na muchy i takie trucizny, co się zalewało wodą kartkę papieru i muchy padały koło tego. Może jakieś osełki były, noże, knoty do lamp, były też latarnie do stajni i obory...

Te rodziny niestety zostały zabite. W czasie okupacji, to było w 1941 r. bodajże, więc ja miałam osiemnaście lat wtedy. Mnie nie było wtedy w Bieganowie, jak przyszli Niemcy, żeby zlikwidować tych Żydów. Wiem, że jak przyjechałam, to było już po wszystkim. Jak przyszli Niemcy, to zamordowali i te dwie rodziny, i z sąsiednich wsi.

\* \* \*

Miałam cudowną mamę, zresztą wszystko co właściwie jest we mnie jakiegoś sensownego i cennego, to ja mam od mamy. To był zupełnie niezwykły człowiek. Inteligentna, niewykształcona, nie miała wykształcenia wyższego, tylko średnią szkołę dla panienek z centrum Petersburga. Ona napisała bardzo piękne pamiętniki, szalenie interesujące – swoje życie od dzieciństwa, potem doświadczenia z wojny, z Syberii i z przyjazdu do Polski. Z tym przyjazdem wiąże się jeszcze taka historia. Po tym jak ci moi rodzice tu przyjechali i przeszli kwarantannę na granicy sowiecko-polskiej w 1922 r., mój ojciec dostał list od swoich stryjów: „Nie zmartw się, ale ciocia Pela nie jest zadowolona z Niny” – bo moja mama była Nina, prawosławna – „nie jest zadowolona, bo

nie tylko, że jest Rosjanka, to jeszcze córka kupca. I nie chce jej uznać. Więc ty wiedz o tym”. Ale jednocześnie powiedzieli: „Jak przyjedziesz do Warszawy, my cię przyjemy na dworcu i się wami zajmiemy. Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze”. No i przyjechali, mój ojciec z mamą, a stryjowie im jakiś tam pokój w hotelu zamówili. Jeden wprowadził mamę do tego pokoju w hotelu i powiedział: „Teraz ty tu siedz i w ogóle stąd nie wychodź, a ja pójde do sklepu i przyniosę ci wszystko, co potrzeba”. Rzeczywiście poszedł i wrócił, bielizna, suknie jakieś, płaszcz, kapelusz, woalka, wszystko co trzeba – [19]22 r. I wtedy wyszli na obiad ze stryjami i ze stryjenkami, i tak się to zaczęło. Po czym jednak ojciec ją wziął i przywiózł do Bieganowa. I skończyło się dosyć szybko na tym, że teściowa, moja babka, przeprowadziła się z Czaryża, ze swojego domu, do nas, gdzie mieszkała do swojej śmierci i na rękach mojej mamy zmarła. Tak że wszystko skończyło się bardzo dobrze.

Mama zajmowała się nami cudownie, była cudowną, serdeczną, opiekuńczą matką. Myśmy byli szczęśliwymi dziećmi, mimo że w bardzo ograniczonej rodzinie, do trzech osób. Mama jako osoba, która weszła w rodzinę zupełnie znikąd przez swoje małżeństwo z moim ojcem, miała chyba poczucie takiego obowiązku, żeby nas w tej rodzinie jednak pokazywać, żeby rodzina miała możliwość, nie mówię o kontroli, ale jakieś wiadomości, jak jesteśmy wychowywani bez naszego ojca. Byli stryjowie i stryjenki, którzy mieli częsty kontakt, przyjaźnili się bardzo z moją mamą i bardzo jej służyli każdą możliwą pomocą, i oni znali nas lepiej. Ale była część starszego pokolenia mojej rodziny, rodziny mojego ojca oczywiście, która mieszkała w Krakowie. To było daleko i myśmy mieli rzadki kontakt z Krakowem, ale pamiętam, że mama nas przywoziła do Krakowa. Czasem to się odbywało przy okazji podróży do Zakopanego. To się odbywało w najwcześniejszym moim dzieciństwie końmi, a ponieważ się jeździło do rodziny i do miasta, to się brało powóz, który różnił się od bryczek fabrykowanych u nas, przez naszego stolarza. Bryczkami jeździło się w odwiedziny do sąsiadów i do kościoła w normalnym czasie, ale w uroczystych sytuacjach brało się powóz. W wozowni stała jeszcze kareta, którą jeździła tylko moja babka. Po jej śmierci, jeszcze przed 1930 r., stała jako zabytek w wozowni, a myśmy mieli okazję do bawienia się w taki domek zamknięty, bo ona była zamknięta i nadawała się na takie gorsze pogody bardzo dobrze. Ale powóz też był wspaniały, bo miał rozkładaną budę.

Myśmy wtedy jeździli, jak to się dawniej mówiło, rozstawnymi końmi. To znaczy konie nie były zmieniane, ale się nocowało po drodze w sąsiedztwie albo właśnie w majątkach naszej rodziny już bliżej Krakowa. Pierwszy

odcinek był długi bardzo, ale potem się nocowało już gdzieś w okolicy Książa, to byli zaprzyjaźnieni ziemianie czy krewni, i to była dla nas wielka atrakcja. Troszkę byliśmy nastroszeni jako małe dzieci, bo małe dzieci nie lubią takich zmian zasadniczych, ale potem żeśmy się przyzwyczaili.

W Krakowie, przy ulicy Stolarskiej była wielka kamienica należąca do mojego stryjecznego dziadka i mojego stryja, Ludwika Morstina<sup>46</sup>. Wjeżdżano się do tej kamienicy przez sień, przez podwórko, do oficyny na parterze, gdzie była normalna stajnia. Tam powóz zostawał na podwórku, konie były w stajni, nasz woźnica powożący, mówiło się wtedy stangret, spał tam razem z tymi końmi, a myśmy spali w mieszkaniu, dużym mieszkaniu należącym do mojej ciotki, wdowy po moim dziadku, właściwie cioci-babci, ciocia Melunia<sup>47</sup>, mówiło się. To było zresztą mieszkanie, które moja mama знаła z opowiadań mojego ojca, bo on tam mieszkał jako chłopiec kilkunastoletni, jak chodził do szkoły średniej przed pierwszą wojną w Krakowie. Mieszkał w takim owalnym pokoju, o owalnym zarysie ścian, który się nazywał „jajo”. I mama opowiadała nam przepiękne anegdoty, jak to on był u tych swoich ciotek – to wszystko mama znała na pamięć i nam opowiadała, a myśmy się szalenie cieszyli.

Charakterystyczne dla tego mieszkania było to, że pokoje od frontu – były trzy duże pokoje wysokie – były w amfiladzie, miały w środkowych ścianach wysokie bardzo drzwi. W ostatnim pokoju, w tym samym miejscu, w którym w poprzednich pokojach były drzwi łączące te pokoje, było ogromne lustro wprawione, które podwajało, a nawet jeszcze bardziej mnożyło obraz tych pomieszczeń w amfiladzie. Myśmy byli zachwyceni, bo to była atrakcja dla nas, wiejskich dzieci. Za to mniej nas bawiło to, że mama nas pokazywała ciotkom. W dawnych rodzinach były przynajmniej trzy pokolenia osób mieszkających razem i w tej kamienicy należącej do moich dziadków były różne takie starsze ciocie, które tam mieszkały i one naturalnie były zainteresowane, jakie to te dzieci ta Nina z Bieganowa przywozi. Oglądały nas przy pomocy *lorgnon*, jak to się mówiło, takich okularków na rączce, bardzo z bliska, bardzo dokładnie. Wyrażały głośno swoje opinie. One brzmiały w ten sposób, że jak ciocie patrzyły i przyglądały się mojemu bratu to mówiły: „Cały Jaś, cały Jaś, naprawdę to jest syn Jasia”. A jak patrzyły na mnie to mówiły: „Mhmm, Basia”. Że mam jakby to powiedzieć,

---

<sup>46</sup> Ludwik hr. Morstin z Raciborska h. Leliwa (1846–1926).

<sup>47</sup> Amelia hr. Lubieniecka z Lubieńca h. Rola (1855–1936).

*air russe*, to znaczy taki wygląd rosyjski. Byłam widocznie podobna do mojej mamy. Rzeczywiście mój brat był podobny bardzo do mojego ojca jako małego chłopca, te ciocie to pamiętały. Więc ja nie miałam żadnych pretensji, uważałam, że jeżeli przez mamę jestem podobna do Rosjanki to bardzo dobrze, mnie to imponowało. Potem, jak troszkę byliśmy starsi, to myśleliśmy, że nie jesteśmy znowu tak jak małpięta jakieś w ogrodzie zoologicznym, żeby nas tak oglądać.

Ale to wszystko było nieważne. Mieliśmy sporo innych atrakcji, na przykład oglądanie z balkonu przechodniów, którzy przechodzili ulicą miasta. Miasto w ogóle było dla nas bardzo atrakcyjne. Z tego co ja pamiętam, z tych czasów, to myśmy nie zwiedzali Krakowa. Byliśmy na to pewnie za mali, moja mama pewnie uważała, że to jeszcze przedwcześnie. Tylko patrzyliśmy – najlepszym punktem obserwacyjnym to zdecydowanie był ten balkon na Stolarskiej, balkon pierwszego piętra. Myśmy, trzeba przyznać, wykorzystywali go do naszych celów. Balkon to było dla nas miejsce wspaniałe, bo można było patrzeć z góry. Oglądaliśmy głowy, nakrycia głów i było to dla nas sensacyjne. Po czym, jak to dzieci, próbowaliśmy reagować na tych przechodzących. Więc z takich kwiatków, które tam były w doniczkach na tym balkonie albo w skrzynkach coś się wyrzucało, żeby trafić w ten kapelusz damski czy męski. To było oczywiście zabronione, ale byliśmy dziećmi, więc robiło się co się dało.

Potem była gra w „bibry”. Była to bardzo powszechna gra, którą myśmy szybko w jakiś sposób przejęli, już sama nie wiem od kogo. Mianowicie w tych czasach na ulicach wszystkich miast, zwłaszcza małych miast, z którymi myśmy może mieli częstszy kontakt, na tej naszej głuchej prowincji, takich jak Szczekociny, Jędrzejów, Włoszczowa, wszędzie było dużo Żydów. Żydzi byli ubrani w swoje stroje żydowskie, które ich odróżniały, zwłaszcza w małych miastach, gdzie właściwie nie było inteligentnych, wykształconych rodzin żydowskich, tylko takie skromne, jak wszyscy inni, jak polskie rodziny też. Chodzili w swoich tradycyjnych strojach i się bardzo różnili, więc rozróżnić Żyda na ulicy, nawet dla dziecka, było zupełnie oczywistą i łatwą sprawą. I gra w „bibry” polegała na tym, że jak się zobaczyło – powiedzmy szło się z rodzeństwem albo z jakimiś innymi znajomymi – zobaczyło się naprzeciwko idącego Żyda lub dwóch, to od razu trzeba było zaznaczyć, że się go widzi pierwszym. Wtedy się zbierało punkty, w zależności od tego, czy ten osobnik, ten Żyd był czarny, miał czarne włosy i brodę, bo, wszyscy mężczyźni, Żydzi, mieli brody, czy siwą, czy bardzo rzadką, rudą. Rudy „biber” był najcenniejszy oczywiście.

Mówię o tym dlatego, że w Krakowie to było eldorado. Bo tu, w tym dużym mieście było Żydów o wiele więcej, a z balkonu na Stolarskiej widać ich było już z daleka. Więc ta gra była bardzo emocjonująca. I ja do dzisiaj to bardzo dobrze pamiętam.

Myśmy lubili w gruncie rzeczy tam przyjeżdżać, była to atrakcja dla nas po prostu. Byle nie za długo, bo jednak w naszym domu i w naszym ogrodzie, i w naszym Bieganowie to było miejsce najszcześniejsze na świecie i myśmy ciężyli zawsze do tego.

Inne podróże to były właśnie te do Zakopanego. Muszę powiedzieć, że one zostały w mojej pamięci jako wielkie wyprawy, które już później, jak przypominałam sobie i jeszcze byłam młodą dziewczyną, wydawały mi się jakimś niezwykłym wyczynem, takim wyzwaniem organizacyjnym dla mojej mamy. Myśmy wyjeżdżali z reguły na około dziesięć miesięcy co roku. W związku z tym, że wynajmowaliśmy cały dom, najpierw pod Gubałówką, a potem pod Krokwią, ten dom był urządzony przez właścicieli, ale to tylko były takie podstawowe sprawy właściwie, a wszystko co nasze, co nam było potrzebne, ubranie, pościel, zimowe ubrania, wyposażenie kuchni, zaopatrzenie podstawowe do kuchni i różne inne rzeczy, to się wszystko przewoziło dwa razy w ciągu roku w tę i z powrotem – około 200 km. Odbywało się to oczywiście pociągiem, myśmy nie mieli samochodu. Komunikacja kolejną w tym okresie, w latach trzydziestych, była taka, że do Zakopanego i do Krakowa, a zwłaszcza do Krakowa, jechało się naokoło przez Częstochowę, Zawiercie, Szczakową. Wszędzie były przesiadki. Z Krakowa do Zakopanego tak, jak jeszcze nieomal prawie do dzisiaj – jechało się wiele godzin przez Kalwarię. Te kolejne stacje ja od najmniejszego dzieciństwa pamiętam, mam je w uszach po prostu.

Mama musiała spakować dużą ilość rzeczy, wyjeżdżaliśmy my w trójkę: ja, brat i mama, pani nauczycielka czy opiekunka taka, co się nami opiekowała dodatkowo, gospodyni nasza i czasem jeszcze ktoś do pomocy gospo-si, nie zawsze, ale przeważnie jeszcze ktoś był. Czyli było nas pięć, sześć osób. Dla tych sześciu osób trzeba było zapakować parę koszów, takie duże, wiklinowe kosze były, większe niż walizki. Każdy kosz był taki, jak dwie ogromne walizki. Tych koszów było parę, nie pamiętam ile, ale wiem, że były. Były też takie brezentowe duże worki, w których się przewoziło chyba pościel, kołdry, poduszki, i jakieś walizki, jakiś jeden czy dwa kufry. Do tego wszystkiego był jeszcze pies i kanarek w klatce. Po prostu tak trzeba było. Dla nas to była cudowna sprawa, bo to była wielka wyprawa, jak na biegun. Z tym, że myśmy też byli rodzajem bagażu, bo w końcu nie mogliśmy

jeszcze pomóc. Wszystko było jeszcze o tyle skomplikowane, że ten bagaż był zbyt duży, żeby mógł być przewożony w normalnym przedziale i był transportowany w wagonie towarowym. Przy wszystkich przesiadkach problem polegał na tym, żeby z tego wagonu towarowego ten duży bagaż był przeniesiony do następnego pociągu z takim wagonem. I moja mama musiała sama to wszystko zorganizować, wszystkie bilety odpowiednie mieć i przypilnować, żeby gdzieś się to nie zawieruszyło po drodze. Teraz, w zależności od tego jak długie były przerwy w miejscach przesiadkowych, to albo było to stosunkowo możliwe i łatwe do wykonania, albo to już było napięte do ostatniej granicy ze względu na krótki czas. Mama moja biedna, ale dzielna, była chora za każdym razem ze zdenerwowania i z przejęcia. Oczywiście pani, która nami się opiekowała, pani nauczycielka czy ktoś taki, to były z reguły bardzo miłe, zaprzyjaźnione panie, pomagały mamie. Gosposia już nie za bardzo, gosposia była od pilnowania psa, klatki z kanarkiem i nas raczej niż załatwiania tamtych spraw. Ale to naprawdę były wielkie, wspaniałe wyprawy. Po przyjeździe do Zakopanego był czas na rozpakowanie, urządzenie się tam, a myśmy byli zachwyceni, bo to była dla nas olbrzymia atrakcja.

Poza tym podróżowanie odbywało się zwykle końmi, na przykład do kościoła. Nasza parafia to był kościół z bardzo piękną, cudowną Matką Bożą Płaczącą w Dzierzgowie<sup>48</sup>, w odległości trzech i pół kilometrów od nas. Myśmy jechali bryczką, a po drodze szli i jechali nasi sąsiedzi, chłopci. Oni jechali na tak zwanych półkoszkach. Były one zrobione z wyplecionego kosza. Na dwóch deskach siadały gospodynie i gospodarz, jak było ich na to stać, reszta chodziła na piechotę i na bosaka. Myśmy jeździli bryczką, naszymi końmi wyjazdowymi. To były rasowe konie, szybkie, silne, duże, większe niż chłopskie, to była bardzo wyraźna różnica. Ambicją naszego stangreta było, żeby jechać i wyprzedzać furmanki. I odbywało się to wyprzedzanie często na takiej granicy niebezpiecznej, dlatego, że droga była dosyć wąska i jeszcze czasem była wyboista. Oczywiście gospodarze na pewno nie byli zadowoleni z tego, bo ta konkurencja była w tym przypadku na ich niekorzyść, ale my byliśmy zachwyceni, zwłaszcza mój brat, jako mężczyzna, brał żywy udział emocjonalnie w tych wyścigach. Natomiast

---

<sup>48</sup> Kościół pw. Wniebowzięcia NMP w Dzierzgowie, w gminie Radków powstał w latach 1903–1911. Jest diecezjalnym sanktuarium maryjnym, w którym czczona jest XVI-wieczna ikona Matki Bożej.

przed samym kościołem przechodziło się przez Nidę i wszystkie te panie, które szły na piechotę, kobiety młodsze i starsze, płukały tam swoje boscie stopy i wkładały buty, porządne obuwie, jakie tam miały, i w tym dopiero wchodziły do kościoła. Tak miało być. Tu warto jeszcze dodać coś o kościele. Były wspólne msze święte dla chłopów i ziemian. Ale było tak przyjęte, że ci drudzy mieli swoje ławki. One zawsze stały w prezbiterium. Nie tak jak w mieście, równolegle do ołtarza, tylko pod ścianą prezbiterium. Zależnie od tego, ile było w tej parafii domów ziemiańskich, dworów, to tyle ławek było. Mówiło się, że to ławki kolatorskie – jak ktoś fundował, wspomagał materialnie budowę kościoła, to mu się ta ławka należała. Nie mogę się oprzeć, by nie opowiedzieć przy okazji jednej zabawnej historii.

Jednego razu była taka afera z naszymi sąsiadami<sup>49</sup>, którzy kupili od mojego stryja majątek. Przez pewien czas było to tematem do rozmów, przewidywań, opinii i plotek na całą okolicę. Bieganów był folwarkiem Czaryża póki żyła moja babka, właścicielka wszystkich tych trzech majątków, które potem rozdała synom. Jak mój stryj sprzedał swój majątek Czaryż bez Bieganowa, to nowi właściciele Czaryża zasiedli na ławkę Morstinów i my nie mieliśmy gdzie usiąść. Ich było dwoje, a nas było czworo, z panią nauczycielką. No i tu się odbywały różne sytuacje, wręcz serial sensacyjny dla całej okolicy, przy czym muszę powiedzieć, że społeczność chłopów, naszych sąsiadów, była szczególnie tym zainteresowana, co to będzie w tę niedzielę, kto przyjedzie pierwszy, a kto będzie stał, a kto będzie siedział. Długi czas to trwało, aż wreszcie nowi państwo ufundowali sobie ławkę, którą postawili jednak w zakrystii, przed wejściem do kościoła, zostawiając tę ławkę mojej mamie i mojej rodzinie.

Oczywiście konno się jeździło też. U nas nie, dlatego że u nas nie było właściwie mężczyzny, ale stryjowie nasi wszyscy jeździli konno, a stryjenka jedna tylko, Alfredowa. Poza tym był jeszcze jeden pojazd używany codziennie u nas, funkcjonalny i bardzo praktyczny, nieznany też, przypuszczam, w innych sytuacjach społecznych, tylko raczej we dworach – to była tak zwana linijka. Pojazd ten służył do kontroli lasów i pól przez gospodarzy ze dworu, bo on wymagał tylko jednego konia. To były cztery koła ze sobą związane podniesioną trochę deską, na dwóch osiach opartą i na tym się siedziało okrakiem, przodem do konia. Można było cztery, z trudem cienkich pięć osób upchać tak jeden za drugim. To dla nas był to świetny pojazd. Był

---

<sup>49</sup> Osoby bliżej nieznanne.

lekki, niewymagający, i często tą linijką myśmy się wyprawiali właśnie, a to na jakieś łąki, a to gdzieś do lasu na grzyby. Daleko nam mama nie pozwalała jeździć, tym bardziej że zaprzęgało się tak zwanego Kucunia. Był ukochanym naszym zwierzęciem, odznaczał się wysoką inteligencją, którą zużywał głównie dla obrony swoich interesów. Robił, co mógł, żeby się wymigać, ale nie zawsze mu się udawało, więc to były takie kompromisy między nami. Ale był bardzo kochany i długo żył, i długo pracował, i woził nas linijką. Jak byliśmy mali, to woził nas wierzchem na swoim grzbiecie. Zwykle zrzucał nas w prosty sposób: biegł przed siebie dosyć prędko i w pewnym momencie decydował, że skręca o dziewięćdziesiąt stopni gwałtownie i bez uprzedzenia. Myśmy spadali dalej w tym samym kierunku zgodnie z prawami fizyki, a on już się zabierał do tego, żeby gryźć trawę na trawniku i właściwie miał z głowy.

Opowiadam to dlatego, że jest taki obraz w moich oczach, właśnie tego, jak podjeżdżało się linijką pod dom i wychodzili nasi goście czy nasi jacyś rówieśnicy. Lejcami dawaliśmy mu do zrozumienia, że już, żeby jechał, a on najspokojniej w świecie się obracał i, jak myśmy uważali, liczył, ile nas jest. W zależności od tego albo ruszał, albo nie. Kochaliśmy go bardzo. Zabrali go nam pijani rusczy żołnierze, jak biegli przez Bieganów na germańca. Nie wiemy, co się z nim stało.

\* \* \*

Dzień we dworze wyglądał tak: rano wstawali wszyscy w zależności od tego, jakie mieli obowiązki. My jako dzieci byliśmy oczywiście budzeni dosyć wcześnie rano przez panie, które się zmieniały kolejno, w miarę, jak żeśmy dorastali. Zajmowały się tym, żeby przypilnować śniadania, gdzieś koło ósmej rano myśmy jedli, potem były lekcje dla nas. Kiedy myśmy mieli wakacje, a z kolei dorośli byli zajęci żniwami albo jakimiś bardziej intensywnymi zajęciami rolnymi, to nie było lekcji. Myśmy od rana już sobie jakieś zabawy w ogrodzie organizowali. Potem było drugie śniadanie, bardzo proste – wielki kawałek chleba pieczonego w naszej kuchni w piecu chlebowym dwa razy w ciągu tygodnia, w środę i w sobotę. W te dwa dni myśmy starali się nie zachodzić do kuchni, ponieważ nasza gospodyni wtedy piekła chleb, a poprzedniego dnia on był przygotowywany w wielkich dzieżach. Chleb piekło się nie tylko dla nas, ale także dla służby. Taki był układ, że piec był tuż za drzwiami kuchni, między sienią a drzwiami do kuchni. Jak gospodyni wyciągała te chleby z pieca łopatą z takim strasznie długim trzonkiem, to ten trzonek zagradzał drogę do drzwi, a jak myśmy te





Barbara z bratem  
Władysławem,  
1928 r.,  
fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
-Chudzikiewicz.

drzwi otwierali, to chleb spadał z łopaty. Wtedy dostawialiśmy ścierką po uszach. Wiedzieliśmy, że to jest niebezpieczne, więc uważaliśmy. A chleby były duże i okrągłe, nie takie jak w mieście. Cudowne, wspaniałe, pachnące chleby, zawsze razowe, zawsze graham z pszennej razowej mąki i chleb pytłowy tak zwany, to znaczy, że z takiej cienkiej mąki żytniej. I bułki, duże bułki, które były z pszennej mąki białej. No więc było pięć gatunków pieczywa codziennie zawsze do drugiego śniadania i do podwieczorku. Myśmy to śniadanie drugie jedli jakoś tak w przelocie. Potem wszyscy mieli swoje zajęcia, moja mama albo jakieś rozmowy z panem administratorem, jeśli nie było administratora, to z rządcą. Pan rządcą to był taki szef służby rolnej, on był odpowiedzialny za produkcję rolną, za uprawy wszystkie i z mamą moją albo z administratorem rozmawiał, brał jakieś dyspozycje, sprawozdania jakieś, wychodzili razem, coś załatwiali.

Obiad był, o ile sobie przypominam, koło południa. Był taki dzwonek na podwórzu hodowlanym, który dzwonił na południe o dwunastej, prawie jak na Anioł Pański. To było po prostu na przerwę w pracy wszystkich robotników rolnych. Słysząc go było w całym otoczeniu oczywiście, i we dworze, i w ogrodzie. On był takim sygnałem, że za chwilę będzie obiad i my, dzieci, ściągaliśmy z ogrodu do domu. Obiad był zawsze złożony z trzech dań: zupa, drugie danie i jakiś deser. Po obiedzie wszyscy dorośli rozchodzili się na drzemkę, a my oczywiście jako dzieci nie, choć jak byliśmy mali, to nas zmuszano do leżenia po obiedzie. Potem już zwolniono nas z tego obowiązku. Myśmy tego nie lubili, ale jednak dosyć regularnie mama nas do tego przymuszała. Potem się wstawało i goniło znowu za swoimi sprawami albo się odrabiało lekcje, bo to też trzeba było zrobić. Ta pani, pomagająca w chowaniu nas, zwykle nas pilnowała i do tego przymuszała, a myśmy się urywali, jak się dało. Potem był podwieczorek, wspaniały, cudowny podwieczorek, do którego najczęściej ściągali do jadalni również starsi. Tak że to było takie wspólne znowu posiedzenie, ale bez specjalnego rygoru, a jeżeli przyjeżdżali goście na przykład, tacy właśnie na parę godzin, to przeważnie to była pora podwieczorku i gościom się ten podwieczorek podawało albo w jadalni, albo na dużej werandzie od strony parku, w lecie, w ciepłe dni, co było atrakcyjne bardzo i przyjemne. Tam dorośli sobie rozmawiali miło.

Kolacja była gdzieś koło godziny ósmej, w lecie jeszcze nie, ale w zimie już przy świetle lamp naftowych. Taka gotowana kolacja, lekka, ale jednak wszyscy się schodzili wtedy przy stole. Potem był wolny czas, który się organizowało na różne sposoby. Dzieci – to zwykle jakieś gry, jakieś zgadywanki, nie było radia i nawet jak było to radio już tak przed wojną, to myśmy nie byli tak szczególnie zainteresowani, chyba że mieliśmy swoich gości i wtedy się puszczało muzykę na gramofonie z płyt. Bo przecież były te takie duże płyty bakelitowe, to się puszczało i jakieś potańcówki były, albo coś takiego. Dorośli owszem, jeżeli była czwórka do brydża, grali w brydża. Jeżeli przyjeżdżali goście, stryjowie nasi, stryjenki, to było towarzystwo zaprzyjaźnione, to oni właśnie – a to grali, a to coś popijali z kieliszka, a to kawę czarną się dla nich robiło, jakieś słodczyce. Siedzieli, rozmawiali przy kominku w salonie. Dzieci się pędziło spać o odpowiednio wczesnej godzinie i spało się długo. I tak było na co dzień. W niedzielę i w święta z reguły ktoś z rodziny przyjeżdżał. Albo z Warszawy, gdzie mieszkał nasz stryj ze swoją żoną, albo ktoś z zaprzyjaźnionych osób, znajomych mojej mamy. Zawsze w niedzielę, to się jechało do kościoła na jedenastą godzinę na sumę. Wszystko robiło się powoli, jeszcze bardziej powoli niż normalnie. Potem

dorośli odpoczywali, odprężali się i byli właśnie albo te gry domowe jakieś, albo karty, albo odwiedziny. W bardzo wczesnym dzieciństwie to mama nas woziła do Czaryża do babci, żeby ona miała tak rodzinie. Ja pamiętam trochę ten Czaryż, zapach Czaryża... Tam był taki kawałek parku zalesiony zupełnie, duży kawałek świerkowo-brzozowego lasu właściwie, a poza tym był nieduży ogród, było szalenie dużo róż, one bardzo ładnie pachniały. Sam dwór był małym, ciasnym dosyć, parterowym domem. Bardzo niewiele pokoi miał, a ja z tych pokoi nie pamiętam nic, tylko z ogrodu zapach róż i jakichś krzewów kwitnących. I właściwie nic więcej... W ogóle mi się wydawało w dzieciństwie, że każdy dom ma inny zapach, jakiś szczególny. Trudno bardzo to opowiedzieć w słowach, ale każdy był inny. Więc nasz dom miał swój zapach i jak się wyjeżdżało i wracało do niego, to się wracało do tego swojego zapachu. Nie pamiętam dokładnie, czym pachniało. Myślę, że taką mieszaniną właśnie jakichś psów, bo psy mają swoje zapachy też, i jakichś kwiatów, które zawsze stały w wazonach w każdym pokoju, różne kwiaty oczywiście, te aktualnie kwitnące w ogrodzie. Dzieci mają większą wrażliwość, przypuszczam i dlatego to świetnie pamiętam.

Było cicho, pokoje były duże, grube ściany, więc w zasadzie się słyszało dosyć ciche głosy mieszkańców, których przecież nie było wielu. Za to się słyszało dobrze głosy z podwórza jednego i drugiego i ze wsi często. Oczywiście ptaki, oczywiście szczekanie psów, muczenie krów, rżenie koni – to były te cudowne odgłosy wsi. Życie biegło powoli i spokojnie. Wsi spokojna, może nie wesoła, ale wsi spokojna i naturalna. Takie to było wspaniałe życie. Młodzi się w tym dobrze hodowali, moim zdaniem. To były warunki, jeżeli oczywiście nie było jakichś takich zupełnie wyjątkowych przypadków, czy jakichś chorób wyjątkowych, to były warunki do rozwoju naturalnego organizmów naszych świetne. I one procentowały i procentują.

W domu obecna była także muzyka. Mój ojciec był ogromnie muzykalny i moja mama też, pomimo że byli z innych zupełnie środowisk. Moja mama uczyła się gry na fortepianie jako młoda dziewczyna w Petersburgu. Miała zresztą wychowanie muzyczne dość wysoko postawione, bo Rosjanie w ogóle są muzykalnym narodem, a Petersburg był centrum kulturalnym w Rosji. Mój ojciec zaś był samoukiem, bo był wychowany w Krakowie przez tych swoich krewnych na Stolarskiej, tam chodził do różnych szkół. Miał talent do takiego odtwarzania i komponowania nawet jakichś swoich utworów na fortepian i robił to doskonale, z wielką łatwością i z ogromnym zamiłowaniem.

Myśmy mieli dwa instrumenty w Bieganowie. To był fortepian duży jak na mieszkanie, nie koncertowej wielkości, ale taki właśnie jakby pośredni,

i pianino. Grania mojego ojca nie znam, za mała byłam. Natomiast całe moje dzieciństwo rozbrzmiewało graniem mojej mamy. Uczyła mnie i mojego brata. Władek nie chciał się niczego nauczyć. Był wystarczająco inteligentny, żeby być leniwy. Uzdolniony muzycznie, po ojcu pewno, i grał na ogół swoje własne kawałki i takie ze słuchu, słyszane właśnie z tego gramofonu. Głównie z gramofonu, bo radia to żeśmy bardzo mało słuchali. Ale był gramofon i były jakieś kupowane i pożyczone na wymianę płyty zwykle z takimi towarzyskimi tańcami. Wtedy towarzyskie tańce były zresztą wspaniałe. Dziewczyny tańczyły z zapałem wielkim, wszystkie umiałyśmy dobrze tańczyć, z chłopcami jak zawsze było trudniej, bo oni, jak nie byli już fachowcami, to nie ryzykowali wygłupiania się, jak to chłopcy. Ale mimo wszystko nie było innych możliwości, tylko trzeba się było nauczyć. Tańce towarzyskie były żelaznym punktem programu spotkań towarzyskich. Okazje były rozmaite, one zwykle koncentrowały się w zimie, w okresie Bożego Narodzenia i Sylwestra, ale miały charakter zupełnie odmienny niż teraz, bo wymagały całej organizacji. To był taki rytuał towarzyski. Najpierw przysyłało się listowne zaproszenia do sąsiadów, wszystkich albo nie wszystkich, wybranych tylko, w zależności od sytuacji. Dla osób dorosłych lub dla młodzieży lub dla rodzin, bo to i tak bywało. Bale te zwykle odbywały się w ten sposób, że było przyjęcie zorganizowane, więc tam się robiło jakiś wspaniały obiad, i były tańce i było to, co jest zawsze na takich spotkaniach, wielopokoleniowa płaszczyzna tych spotkań. Wszystkie domy były zamieszkane raczej wielopokoleniowo, to znaczy, że średnie pokolenie się zajmowało organizacją i było głównie przyjmowane, a starsze pokolenie i młodsze w pewnych partiach tego czasu. Większość starszego pokolenia siedziała po brzegach salonu. W każdym dworze był jeden pokój nazywany salonem i on był przeznaczony na towarzyskie okazje, to był najczęściej duży pokój, największy. Jedzenie było świetne, przynajmniej tak mi się wydaje. Gospodynie się szalenie starały, służba była czasem nawet pożyczana, jeżeli to było wesele na przykład czy coś takiego. I rzeczywiście gospodarze, państwo domu zajmowali się tylko gośćmi. Były rozmowy i były tańce. Tańczyli głównie młodzi ludzie, a starsi im się przyglądali i komentowali. Oczywiście wszystkie swoje spostrzeżenia panie głównie po linii, czy coś z tego będzie, czy nie będzie z tej pary, która wielokrotnie ze sobą tańczyła. Był absolutny zwyczaj, że mężczyźni starsi, młodszy musieli tańczyć z paniami, czy mieli na to ochotę czy nie. To było przyjęte i nie wypadało inaczej. Była taka zasada, że jeżeli jakaś panienka, jakaś młoda dziewczyna siedziała gdzieś tam między ciotkami albo gdzieś z boku i nie była zapraszana do

tańca, to przynajmniej młody człowiek z domu musiał się nią zająć i namówić swoich kolegów, żeby jednak się nią zajęli. Trzeba przyznać, że formy towarzyskie w tych rodzinach ziemiańskich były stawiane bardzo poważnie w wychowaniu. Było to w gruncie rzeczy piękne, to była piękna kultura towarzyska. Również było założone, że zostawienie samych, bez takiej towarzyskiej uważności, osób starszych, w ogóle nie wchodziło w rachubę. To była sprawa gospodyni czy córek domu, żeby absolutnie, zarówno panowie, jak i panie starsze były cały czas pod opieką towarzyską i zabawiane, jak się to mówiło. Bo się umawiały takie młode osoby: „No, słuchaj, ja już kończę dyżur z tą ciotką, teraz twoja kolej”. Tak było przyjęte i wykonywane. Bardzo wszystkim cieszyły te spotkania. Oczywiście starsze panie miały wspaniałe żniwo obserwacji, przypuszczeń, układów, podejrzeń i rozmowy na ten temat potem się toczyły już w mniejszych gronach dłuższy czas po każdym dużym spotkaniu.

Były oczywiście polowania – też przecież zupełnie nieznanne dzisiaj okazje, bardzo towarzyskie. Polegały na tym, że zapraszani byli sąsiedzi czy przyjaciele z bronią, ze sztucerami, dubeltówkami, ze strzelbami różnego typu. Była to cała duża organizacja mężczyzn, było trochę kobiet, bardzo niewiele, które również brały udział w polowaniu samym, jako myśliwy. Ale to były absolutne wyjątki. Ja przeszłam przez taką sytuację, w której mnie wciągano w to, zresztą moją mamę też. Moja mama się nie brała nigdy do strzelania, ale była żoną mojego ojca, który był świetnym myśliwym, i wiedziała o co chodzi, rozumiała to i brała udział właśnie w jakimś takim zapleczu. Ja byłam do tego przyuczana, ale się z tego wyłamalam bardzo szybko i kategorycznie. Było raz tak, że strzeliłam do wróbla, bo one były najbardziej blisko i pierwszym strzałem rozwaliłam ptaszka małego – miałam dobre oczy widocznie i dobrą rękę. Jak to zobaczyłam, to powiedziałam: „Nigdy więcej”, i na tym się skończyło. Przestałam w ogóle chodzić na polowania, powiedziałam mamie, że nie mogę, trudno.

Samo polowanie wyglądało tak, że panowie byli odpowiednio ustawiani i była nagonka przy zającach i lisach. Nagonka to znaczy albo zaangażowani, wynajęci chłopci, albo ktoś ze służby dworskiej wchodził – to na ogół były wynajęte takie drużyny mężczyzn, którzy szli tyralierą przez zarośla i przez las, i wypłaszali pod strzelby tych ustawionych odpowiednio myśliwych. Gajowi mieli nad tym kontrolę, oni wiedzieli, gdzie jaka zwierzyna. Potem zbierało się te przyniesione przez psy pozabijane albo ranne i dobijane zwierzaki-biedaki, układało się je rzędami, liczyło i albo leśniczy, albo gajowy grali na trąbkach taką melodię, która kończyła tę imprezę. Potem

na specjalnych wozach się to przywoziło do jednego majątku i jakoś sobie to rozdzielali ci panowie. I natychmiast było jedzenie i picie. U nas się nie robiło polowań, bo nie było mężczyzny w domu.

I jeszcze jeden obrazek z dzieciństwa, tego cudownego dzieciństwa w naszym dworze w Bieganowie: to był prawdziwy skarb. Otóż moja babka Pelagia, która była bardzo zamożna, która jak została wdową i jej się nudziło wyjeżdżała na pół roku, zimowe pół roku, do Monte Carlo. Tam grała w ruletkę i puszczała klucze<sup>50</sup>, jak to moi stryjowie mówili, klucze – majątki jakieś na Ukrainie (reszta któregoś klucza to były te Bereżce). Jeździła tam zawsze w towarzystwie jakiejś pani do towarzystwa, przywoziła stamtąd – pieniędzy nigdy, bo wszystkie pieniądze puszczała w tę ruletkę – ale była zadowolona, miała tam towarzyskie życie jakieś, właściwie interesowała się tą ruletką – i wracała z kosztami pełnymi wspaniałych toalet – to był skarb naszego dzieciństwa. Na strychu leżały te kufry różne naszej babci Pelagii, cioci Peli, jak mówili stryjowie, którzy właśnie uważali, że ona puszcza te klucze. Jak się okazało potem, dobrze robiła, bo te klucze już po pierwszej wojnie zostały za granicą, głęboko w Ukrainie. No więc w porządku, przynajmniej coś miała, jakieś przyjemności z tego powodu, a te cudowne zupełnie toalety, które po niej zostały, służyły nam, dziewczynom do teatralnych przebieranek. Od czasu do czasu żeśmy się wybierali na ten strych. Nie było tam światła, więc ze świecą albo z latarką i to były cudowne odkrycia różnych spraw, do dzisiaj to bardzo dobrze pamiętam... No więc to było piękne dzieciństwo. Ale potem przyszła okupacja, my ciągle będąc na tym samym miejscu, to było nasze wielkie szczęście, w naszym własnym domu przeżywaliśmy właściwie bardzo szczęśliwie całą okupację. Co tu dużo mówić, w porównaniu z tym, co się działo w miastach, co zagrażało wszystkim młodym ludziom i nie tylko młodym, wszystkim rodzinom, wszystkim Polakom w miastach, myśmy jak gdyby mieli spokój...

\* \* \*

Było lato 1939 r., ja skończyłam właśnie gimnazjum, przede mną było liceum oczywiście. Mieszkanie było przygotowane i wynajęte przez moją mamę w Kielcach. Były wakacje, było piękne lato bardzo. Niemniej coś w powietrzu już wisiało, co nas niewiele interesowało jako młode stworzenia, natomiast

---

<sup>50</sup> Klucz – kilka posiadłości jednego właściciela najczęściej zlokalizowanych blisko siebie.

moja mama zaczęła się niepokoić wiadomościami z radia, że tak się chmurzy na horyzoncie i że się robi niebezpiecznie. Problem korytarza między Gdańskiem a Niemcami już był dosyć szeroko rozgłaszany<sup>51</sup> i to docierało również do nas. Wiedziałam, że moja mama się zaczynała komunikować z przyjaciółmi, z rodziną, ze stryjami, z sąsiadami na ten temat – była jakaś wymiana informacji. Do nas, do mnie i mojego brata, nie za bardzo to docierało, choć był taki moment, który nawet pamiętam, że tak właśnie myślałam, że wszyscy dorośli napinają się nerwowo, rozmawiają ze sobą z poważnymi minami – to znaczy że coś niedobrego się dzieje i może się nam zdarzyć. W pewnym momencie, jeszcze przed 1 września, był już taki nastrój czy takie informacje, że moja mama, która przejmowała się nieprawdopodobnie – miała za sobą swoje doświadczenia wojenne – mówiła do nas: „Dzieci, bardzo się boję, wy nie wiecie, co to jest wojna, ale ja wiem. Bardzo się boję”. Zdecydowała też, że ponieważ nie wiadomo, co się stanie, my na pierwszego jeszcze do Kielc nie pojedziemy. Poczekamy trochę, te parę dni chociaż. I w pewnym momencie przez radio usłyszeliśmy ten bardzo charakterystyczny głos spikera z Warszawy, który mówił o samolotach i ostrzegał: „Halo, halo, tu Warszawa. Nadchodzi”. To była mowa o nalocie na Warszawę. Dla nas był to zupełny, absolutny szok i niepojęta sytuacja, żeby jednego dnia, wczoraj jeszcze nic, a dzisiaj samoloty robią naloty na Warszawę, na naszą stolicę, na środek Polski. Przecież my mamy granice i nasze wojska są na granicy. I ta świadomość, że nasza armia nas obroni, będzie wojna, trudno, ale nas obronią – myśmy ją mieli, my dzieci po swojemu jakoś to odbieraliśmy. To był ten pierwszy sygnał. Potem były następne informacje z radia, bo innych wiadomości nie było, i moja mama, tak jak ogromna większość Polaków i ziemian, też postanowiła wyjechać na wschód, w odruchu tego, żeby nie zostawać tu, bo jednak myśmy byli stosunkowo blisko granicy niemieckiej. Przygotowano konie, jakieś tam zapasy jedzenia podstawowego i przez Kielce mieliśmy jechać potem na wschód. Pojechaliśmy we czwórkę, to znaczy mama, mój brat i ja i Rysiek<sup>52</sup>, syn naszej nauczycielki, która do tej pory była z nami zaprzyjaźniona i była w kontakcie. Ten Rysiek przyjeżdżał z reguły na wakacje do nas w lecie i był

---

<sup>51</sup> Chodzi o tzw. korytarz polski, jak w niemieckiej propagandzie przedwojennej określano obszar ówczesnego województwa pomorskiego, oddzielający Prusy Wschodnie od reszty Niemiec.

<sup>52</sup> Ryszard Wróblewski, bliżej nieznan.

też na tych wakacjach. On jadąc w stronę Kielc jechał w stronę Warszawy, do swojego domu, do swojej matki. Wyjechaliśmy na północ, bo na północny wschód od nas były Kielce. Na pierwszą noc zajechaliśmy do Oblęgorka. Oblęgorek to był mały mająteczek ofiarowany przez społeczeństwo rodzinie Sienkiewiczów<sup>53</sup>. Henryk Sienkiewicz<sup>54</sup> już nie żył, wtedy był jego syn z żoną, i myśmy tam po prostu na noc zajechali, bo już nie było gdzie. Zajechaliśmy tam jak uciekinierzy, spytaliśmy, czy możemy przemocować, oni powiedzieli: „Ależ oczywiście!” i ta nasza czwórka, troje młodych i mama, nocowała w Oblęgorku. A oni się szykowali do wyjazdu, też po tej nocy chyba też wyjechali.

O świcie pojechaliśmy dalej, nie dojeżdżając do Kielc w pewnym momencie w jakiejś wsi przekraczaliśmy szosę, patrzymy, jadą na motocyklach żołnierze i nie są to polscy żołnierze. Czyli dosłownie w drugim czy trzecim dniu września, nie w Bieganowie tylko już tam gdzieś spotkaliśmy żołnierzy niemieckich na motocyklach. To był pierwszy kontakt z armią niemiecką. Taki bardzo wycinkowy kontakt, ale zupełnie już niewątpliwy. W końcu dotarliśmy już bez następnych spotkań z Niemcami do Kielc i do tego mieszkania, które było przez mamę wynajęte. Puściusienkie, bo jeszcze nieurządzone, ale już było takie, że nam ten gospodarz dał klucze i wpuścił nas. Nie pamiętam nawet, jak myśmy spali, chyba gospodarze nam legowiska jakieś zorganizowali. Tego samego dnia, bo to jakoś przed nocą żeśmy tam dojechali, moja mama pytała się gospodarza, co się dzieje. „Niemcy są już w Kielcach”. – „Czy są jakieś ofiary, czy są jacyś ranni?” – „Są ranni”. – „A gdzie są szpitale?” – od razu mama się zapytała. I na drugi dzień rano poszła, znalazła szpital i zgłosiła się jako pielęgniarka. Wojna to wojna, mama jest wojenną pielęgniarką. Przyjęto ją do szpitala miejskiego jakiegoś. Powiedziałam: „Mamo, to ja z mamą”. Przecież mama, jak była pielęgniarką, miała siedemnaście lat, a ja właśnie miałam szesnaście, to dlaczego nie. – „Nie, poczekaj, ja się zorientuję”. No to poczekałam.

Nie mieliśmy co robić, objaliśmy się między ludźmi. Szykowaliśmy jakieś ziemniaki czy jakiś chleb, żeby w ogóle jakoś się pożywić, czekając na mamę. Mama przychodziła zmordowana, zmęczona i opowiadała, że faktycznie są ranni, żołnierze polscy, którzy zostali jakoś zaatakowani. Są także żołnierze

---

<sup>53</sup> Miało to miejsce w 1900 r. Pisarz mieszkał w Oblęgorku w latach 1902–1914 (głównie w miesiącach letnich).

<sup>54</sup> Henryk Sienkiewicz (1846–1916) – polski powieściopisarz i publicysta.



niemieccy, jest trochę ludności cywilnej i jest pełno roboty ciężkiej, prawdziwej, takiej frontowej roboty w tym szpitalu i: „Ja ciebie nie puszcę. Jesteś jeszcze za młoda”. Ja mówię: „Mamo, a jeżeli będzie trzeba?” – „Jeżeli będzie trzeba sięgnąć po takie młode dziewczyny jak ty, to oczywiście pójdiesz, ale na razie nie”, i nie puściła mnie. Przychodziła strasznie zmęczona, a myśmy się objęli, denerwowaliśmy się, mama się denerwowała i tak dalej... To było jakieś cztery, może pięć dni, dokładnie tego nie pamiętam. Wiadomo tylko było, bo to już wszyscy wiedzieli z radia, że front przeszedł już i że Warszawa walczy. Myśmy już byli wewnątrz terenu zajętego. I wtedy pojawili się z Bieganowa ludzie, to znaczy przyjechała chyba nasza gospodyni, przyjechał nasz fernal i ten stangret zaprzyjaźniony z nami – wzięli konie i przyjechali po nas. Mama się szalenie ucieszyła, bo się dowiedziała, że w Bieganowie nie ma Niemców ani we wsi, ani we dworze, nic się nie zmieniło. – „Niech pani wraca, bo tutaj nie ma co robić”. No to żeśmy wrócili i od tej drugiej połowy września byliśmy już razem z Ryśkiem Wróblewskim, tym warszawiakiem, w Bieganowie. Zabraliśmy go z powrotem, bo do Warszawy nie było sensu się pchać w ogóle dla chłopaka. Ten pierwszy okres był jakiś taki nijaki, to znaczy był dramat świadomości naszej, że nasza armia nas nie obroniła. Widocznie coś było w niej takiego, że nie mogła. Ale co będzie dalej? Wszyscy sąsiedzi też jak gdyby szybko wrócili. Każdy wyjechał, jakiś tam miał pomysł swój i jakąś trasę, ale powracali wszyscy, a Niemców w zasadzie nie było. Nie pamiętam, naprawdę nie pamiętam, kiedy się pojawili ci pierwsi urzędnicy niemieccy.

Dopiero z czasem, powoli jakoś docierało do nas, co się dzieje. Już w tych jesiennych miesiącach, ale dokładnie nie pamiętam kiedy, pojawili się poznaniacy wyrzuceni z poznańskiego<sup>55</sup>. To też jakąś taką pantoflową pocztą szło, bo przecież nic nie działało. Więc rozeszła się wieść, że ziemianie mają się zająć wysiedleńcami z poznańskiego. I rzeczywiście, jakoś w tym czasie się pojawiły pociągi, z których wyrzucano te rodziny z pościelą, z jakimiś kuferkami, z jakimiś kosztami, z czymś tam. Zabierały ich przede wszystkim dwory, a potem częściowo także jakoś po wsiach się tam gdzieś w jakiś sposób znaleźli. Wtedy przyjechały dwie rodziny poznańskie<sup>56</sup> do nas, mama im znalazła mieszkanie, to, gdzie mieszkała nasza gospodyni z rodziną. Tę gospodynię wzięła do dworu, a na ich miejsce dała jedną rodzinę, a druga

---

<sup>55</sup> Niemcy zaczęli wysiedlać Polaków z Wielkopolski już w grudniu 1939 r. Zob. *Wysiedlenia, Wypędzenia i Ucieczki 1939–1959. Atlas Ziemi Polskiej*, Warszawa 2008.

<sup>56</sup> Osoby bliżej nieznanne.

rodzina jakoś tam w jakichś przestrzeniach dworskich zabudowań gdzieś się upchała z dziećmi. Właśnie tam był chłopak jeden, nasz rówieśnik, drugi miał trzynaście lat. Podrastał w czasie wojny, bo oni byli do końca, ale na razie miał trzynaście lat i też się uczył potem na kompletach zorganizowanych później. Taka była ta jesień właściwie.

Niemców się nie widziało na co dzień przez całą okupację. To była enklawa. Polacy mieszkający w miastach pod okupacją niemiecką, w ogóle nie mogli uwierzyć, że są takie miejsca w kraju naszym, które czują okupację z różnych powodów, ale nie muszą się stykać z Niemcami na co dzień. I powoli myśmy zaczęli organizować swoje życie z perspektywą, że to szybko się nie skończy. Cały dom był zamieszkały przez osoby z zewnątrz, które traktowały ten dom jako swoje miejsce tymczasowe, nie wiadomo na jak długo, ale jednak jako tymczasowy punkt zabezpieczenia swojego życia. Częściowo były to młode osoby z naszej rodziny dalszej, była też taka ciocia z Warszawy<sup>57</sup>, która miała pięcioro dzieci, wdowa, co nie miała nie tylko żadnego zawodu, ale w ogóle była osobą niesłychanie bezradną i zupełnie nieumiejącą sobie dać rady. Była za to daleko spokrewniona z Morstinami i w związku z tym, że Warszawa nie była miejscem, gdzie ona by mogła te dzieci utrzymać, jakieś mieszkanie dla nich znaleźć, w ogóle zająć się nimi, to ta piątka (tam było trzech chłopców i dwie dziewczynki, najmłodszy chłopiec był młodszy od mojego brata, a najstarszy był mniej więcej w moim wieku) – myśmy rozdzielili jak gdyby te dzieci na nasze rodzinne dwory, to znaczy w Kwilinie była trójka chyba, a u nas dwójka, i przez tę okupację one po prostu były. Był także syn naszej nauczycielki Rysiek Wróblewski, nasz rówieśnik z Warszawy, który przeniósł się u nas właściwie prawie całą okupację. Był nasz mistrz, korepetytor i nauczyciel w jednej osobie, Zygmunt Ziębiński z Poznania<sup>58</sup>. Przyjeżdżała stryjenka moja, żona mojego zmarłego już stryja z Warszawy, warszawianka, i profesor Miedniak z Katowic<sup>59</sup>. W zasadzie jednak była to w większości młodzież i ten dom był taki żywy dosyć, bo po pierwsze uczyliśmy się, przygotowywaliśmy się do matury i zdawaliśmy maturę. Jeszcze był chłopiec jeden i jego kolega ze wsi, który się uczył razem z nami. Były nasze kuzynki z Wileńskiego, które przez Warszawę do nas się dostały. Był też taki ich z kolei sąsiad z Wileńskiego – w sumie kilkanaścioro młodych

---

<sup>57</sup> Osoba bliżej nieznana.

<sup>58</sup> Zygmunt Ziębiński (1920–1996) – późniejszy profesor, teoretyk prawa, logik.

<sup>59</sup> Władysław Miedniak (1979–1963) – pedagog, fizyk, działacz kulturalny.



Barbara (w środku) i Władysław (pierwszy z prawej) na „linijce” w towarzystwie kuzynów i przyjaciół, 1934 r., fot. ze zbiorów B. Gołajewskiej-Chudzikiewicz.

we dworze. Z dorosłych była moja mama, administrator... i ja. Mówię o tym dlatego, że w czasie okupacji, nie dość, że się odbywały te lekcje z naszym Zygmuntem i ewentualnie z profesorem, to jeszcze jeździliśmy tu i ówdzie.

W 1942 r. myśmy zdawali maturę. Piętnaście kilometrów od nas był taki duży bardzo majątek – Słupia, i tam było bardzo dużo młodzieży. Tam też była załoga Niemców, bo była gorzelnia. Tam mieszkali też profesorowie i dyrektor jednego z liceów kieleckich. Było ich tam z pięć czy sześć takich osób, traktowanych jako pracownicy majątku albo rodzina. Reszta mieszkała po innych majątkach. I tam właśnie w efekcie ja zdawałam maturę z jedenastu przedmiotów, z całego liceum, w ciągu trzech dni kolejnych. I nie tylko ja, bo było nas parę osób ściągniętych z różnych stron na ten dany termin. Po prostu z wszystkich przedmiotów pisemną i ustną maturę, a potem gospodarze zrobili komers. W dużym domu, z udziałem młodzieży tamtejszej, mieszkającej, bo tam było dużo młodzieży bardzo fajnej. No i wtedy na tym komersie po raz pierwszy wypiałam kieliszek wódki, uznając, że jestem osobą dojrzałą i mogę sobie na to pozwolić. Takie były zwyczaje okupacyjne.

Więc mieszkało u nas dużo młodzieży. Poza nauką graliśmy w siatkę, graliśmy w karty i inne gry i robiliśmy teatr. Moja mama, Rosjanka, zakochana w polskiej literaturze i w polskim teatrze oczywiście, wymyśliła, że my będziemy robić przedstawienia. No więc, telewizji nie było, radia nie było, żadnych rozrywek nie było, więc to było doskonale rozwiązanie. I na pierwszy ogień poszła *Odprawa posłów greckich* – moja mama uważała, że to wspaniała poezja. Ja byłam Kasandrą, to tylko pamiętam. Do dzisiaj pamiętam jakieś takie słowa, na których wyłamywałam sobie język, ale wszystko jedno. Odstawiliśmy to w strojach, jakichś takich prześcieradłach greckich. I powiedzieliśmy, że jeżeli następny teatr ma być, to musi być romantyczny, bo my już nie chcemy tak. I wtedy wystawiliśmy *Fredrę. Śluby panięskie* Fredry. I to było to. Nie dość, żeśmy się tego pięknego wiersza wszyscy nauczyli, to jeszcześmy się poprzebierali, no i przyjeżdżali sąsiedzi nasi, jak do teatru, a myśmy grali wspaniale. Ja robiłam dekorację, bo ja byłam za plastyczkę już wtedy. Ale tu jeszcze przy *Ślubach panięskich* to tych dekoracji niewiele trzeba było. Stroje też robiło się jak się dało, dużo było umowności. I tak się rozpędziliśmy, że następny – mama moja była reżyserem – że następny to był Szekspir, *Kupiec wenecki*. Między innymi dlatego, że ten nasz korepetytor i nauczyciel, Zygmunt (on został profesorem potem w Poznaniu na uniwersytecie), szalenie wysoki, chudy, miał taką końską twarz, i on grał Shylocka z *Kupca weneckiego*. Jaki był stylowy! Z konopi miał brodę zrobioną, jarmułkę – no wszystko było wspaniałe. Ja zrobiłam dekorację, moja mama się poświęciła i oddała mi do dyspozycji całe prześcieradło, na którym ja narysowałam kanał wenecki z mostkiem wygiętym przez ten kanał, uliczki, latarnie, i to było tło. I tylko ze dwa albo trzy razy żeśmy odgrywali ponieważ w pewnym momencie Shylock z brodą z konopi nachylił się nad tym żywym płomieniem karbidówki i stanął w płomieniach razem z tą brodą. No więc trzeba go było ratować i troszkę się przedstawienie nie udało. I na tym się skończyło w ogóle. Ale w gruncie rzeczy wydaje mi się, że ten czas okupacji, tak bezpośrednio na co dzień, nie był taki straszny. Życie się toczyło tak, jak to na wsi we dworze, jadło się z tego ogrodu i gospodarstwa tak jak przed wojną, wszystko było w gruncie rzeczy na miejscu, z tą różnicą, że było mniej i skromniej. Dlatego że obciążenia były duże, były kontrybucje miejscowych jakichś tam zorganizowanych bandytów i kontrybucje na rzecz Niemców, bardzo kosztowne i duże. No i załoga tego dworu była powiększona, więc to wszystko dosyć sporo kosztowało. Było skromnie, ale jednak nie głodowało się.

Oczywiście dla mojej mamy, dla tego pana, który jako administrator zdecydował o tym, jak wybrnąć ze wszystkich trudności prowadzenia tego gospodarstwa ziemskiego, to były trudne problemy i gdzieś my młodzi też tam w podświadomości bardziej lub mniej wyraźnie odczuwaliśmy, że to wszystko jest takie jakby trochę nieprawdziwe, a w każdym razie, że to musi się kiedyś jakoś zmienić, że jest źle, niebezpiecznie, że jest wojna i że w ogóle nasze życie tak zatrzymane, jak gdyby bez żadnej perspektywy na przyszłość, nic nam nie ofiarowuje, tylko same zagrożenia. Ale trzeba przyznać także, że myśmy mieli wyjątkowe szczęście, nikt z naszych najbliższych nie był aresztowany, nie zginął, nie umarł w więzieniu czy w obozie jakimś, ani w czasie tej wojny pierwszej, ani w ciągu okupacji. Jeżeli były zagrożenia na co dzień, to one były raczej ze strony miejscowych sił nieprzyjanych i wykorzystujących możliwości samego majątku i dworu, niż ze strony okupanta. Nas to nie obciążało aż tak bardzo, jak obciążało innych naszych rodaków w miastach głównie, gdzie władze okupacyjne szykanowały ludzi w sposób naprawdę zasadniczy. Tam się ryzykowało życie w każdej chwili, a my mieliśmy trochę spokojniej i trochę inaczej. W jakiś sposób się przystosowaliśmy do tego, licząc też, tak jak młodzi liczą, że ich marzenia o tym, że kiedyś będzie normalnie i będzie prawdziwa Polska, i że wszystko będzie zupełnie inaczej. Myśmy to gdzieś mieli w swojej podświadomości i przez to może nam było łatwiej.

Natomiast mieliśmy cały szereg bardzo dziwnych i trudnych do opisanie sytuacji okupacyjnych, zupełnie nietypowych. Niemcy byli tylko tam, gdzie były gorzelnie albo tartak, poza tym była władza administracyjna, to znaczy w Szczekocinach był jakiś zarządca tego terenu, który ścigał, nakładał kontyngent, który majątki musiały płacić, chłopci też. I przyznawał za to jakieś wynagrodzenie, które było z reguły nie w pieniądzu. Za to dostawaliśmy wódkę, fatalną, wstrętną, źle bardzo oczyszczoną wódkę i papierosy. Poza tymi haraczami dwory cierpiały od różnych ugrupowań, które miały broń. To znaczy byli bandyci, którzy nakładali kontrybucję w pieniądzu na majątki. Po prostu przychodzili i grozili bronią właścicielom, nakładali tę kontrybucję i trzeba było to spłacać co jakiś czas. Przychodzili bandyci, którzy chcieli się najeść i napić, i zabrać wódkę i papierosy, i coś ze spiżarni oczywiście. Przychodzili partyzanci różnych formacji, byli nieprzyjemni bardzo. Przychodzili w nocy i walili w drzwi. Ponieważ częstotliwość była średnio co drugą, co trzecią noc, i były tylko dwie osoby dorosłe, mama i administrator, to ja byłam jako trzecia na zmianę, żeby była lepsza rotacja. Jak walili w drzwi, to się odgrywało taką rolę, zaspanym głosem, ja



Barbara  
w Tatrach,  
1934 r.,  
fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
Chudzikiewicz.

powiedzmy mówiłam: „Chwileczkę, chwileczkę, zaraz poszukam klucza”. Wtedy upychało się pod łóżka, czy gdziekolwiek, wszystkie swoje ciepłe rzeczy na zimę, kurtki, płaszcze ciepłe, kto miał coś ciepłego, to tam wrzucał. Goście nasi, którzy przyjeżdżali z Warszawy wypocząć trochę od miasta, cała ta młodzież mieszkająca tutaj, wszyscy nasi uciekinierzy czy inni, spokojnie spali. Im się nic nie działo. Wtedy wchodzili ci, zawsze z bronią w rękę, zawsze bardzo agresywnie, z wyjątkiem znajomych partyzantów naszych, ale to już była ekstra sprawa, i żądali jedzenia, wódki i pieniędzy. No to się ich prosiło do stołu, czasami chodzili po wszystkich pokojach z bronią: „Kto to jest, kto to jest?” To myśmy mówili, że to są uciekinierzy z Warszawy, uciekinierzy z Poznania. – „A kto właściciel?” – „Nie ma właściciela”. – „Jak to nie ma?” – „Nie żyje”. – „No to kto tutaj rządzi?” – „Moja mama”. No to budzili mamę albo nie budzili, różnie, zależy od tego, jaki był nastrój. Jeżeli byli trzeźwi, to się udało ich załadować, przynieść coś ze spiżarni, odgrzać coś i dać im flachę wódki, żeby nie pili w tym domu.

Raz było tak, że już przyszli pijani i byli bardzo nieprzyjemni. Moją kuzynkę, taką biedaczkę z Warszawy, postawili pod piecem i trzymali ją cały czas pod karabinem i tylko wydawali rozkazy, co im przynieść – ubrania, buty, coś tam. No to się przynosiło, bo co było zrobić. Raz było tak, że ja miałam dyżur, a oni przyszli pijani i od razu, nie pytając, kazali prowadzić się przez wszystkie pokoje, z karabinem w plecach. Ponieważ to była rzadka sprawa, to ja się trochę przejęłam. No, ale ponieważ widzieli, że tutaj spali ci wszyscy nawet na siennikach, na podłodze niektórzy, niektórzy po dwie osoby w łóżku, więc widzieli, że to już jest nie tak bogato. I chociaż byli pijani i wściekli, to jakoś jednak wyszli i zostawili mnie. Moja mama na szczęście nie widziała tego, jak oni mnie tak prowadzili. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że ta grupa zamordowała sąsiada zaangażowanego w AK w jakiejś sprawie, nie wiem jakie, zastrzelili go w łóżku po prostu. Potem się napili i przyszli do nas, więc byli już w specjalnym nastroju, to się dało odczuć, ale na szczęście u nas jakoś to się skończyło.

I raz była sytuacja, która się nadaje na scenariusz filmowy niewątpliwie. To był taki zbieg okoliczności, że w dzień, w południe, przyjechał – tylko nie pamiętam, kto pierwszy – ten Niemiec ze Szczekocin z obstawą, z żołnierzem z karabinem podwodą. Został wprowadzony do salonu, w którym stał stół jadalny, posadzony przy stole i ja się nim zajmowałam, żeby on mógł zjeść coś i żeby jakoś był w dobrym nastroju, a potem moja mama z nim o kontyngencie rozmawiała. W tym samym czasie od drugiej strony przyszło dwóch panów z bronią po kontrybucję, to znaczy tych bandziorów jakichś miejscowych i rozmawiali z administratorem w takim pokoiku, który był używany za biuro. W tym momencie myśmy sobie zdali sprawę, że jeżeli oni się dowiedzą, że tu jest Niemiec i jest tylko jeden żołnierz z karabinem, to oni ich zlikwidują po prostu, bo to jest okazja. Co zrobić, żeby się nie dowiedzieli? No i tu już brakowało troszkę osób do rozwiązywania tych problemów. Mało tego, przecież te kobiety tutaj, w kuchni, wszystkie mogły zrobić jakiś alarm, jakieś halo, i od razu by to wyszło. Jakimś cudem się to udało, ich wypchnąć, dać im czym prędzej tę bryczkę i czym prędzej jakieś konie, żeby oni już wyjechali. I to się udało. To były nasze okupacyjne doświadczenia.

Oczywiście wszyscy żeśmy byli zaangażowani w AK. Nasz administrator był oficerem AK dosyć wysokim i miał pod sobą spory obszar, którym dowodził i to on zaprzysiągł nas wszystkich. Tą młodzież z Poznania nie, z Warszawy też, oni tam mieli swoje jakieś układy, ale mój brat oczywiście, ja, Zygmunt, to myśmy wszyscy należeli, i ten chłopak ze wsi, który matu-  
rę zdawał z nami. Każdy z nas miał swój przydział. I stale mieszkał u nas

jeszcze inny oficer AK<sup>60</sup>, który był naszym bezpośrednim przełożonym, bo tamten administrator był wyższym, miał inne kontakty. Oczywiście różne osoby przyjeżdżały. Jeżeli rozmawiali tylko z administratorem, nikt z nas się nie pytał, kto to jest i skąd. A miejscowi chłopcy z lasu, jak to oni walili w drzwi i to im się otworzyło, wchodzili uśmiechnięci, byli swoi. Wtedy myśmy się cieszyli, wszystko, co było w spiżarni im się wydawało. To nas budowało i było bardzo dobrze.

Moja mama miała stopień porucznika, oficera służby sanitarnej. Jako pielęgniarka wojenna z pierwszej wojny była wyszkoloną pielęgniarką wojenną, przyuczała mnie do tego, i miała w całym dużym obwodzie obowiązek szkolenia sanitarnego dla oddziałów partyzanckich i dla takich punktów szpitalnych we wsiach. Jeździła na różne szkolenia, przyjmowała różne zlecenia i wysłała mnie na praktykę do szpitala w mieście powiatowym, w Jędrzejowie. To było dla mnie doświadczenie ważne, no i bardzo cenne w gruncie rzeczy. To był rok 1944, w lecie chyba, pojechałam tam na sześć tygodni. W Jędrzejowie było tak, że tam były, zdaje się, dwa szpitale przed wojną, ale w czasie wojny, w czasie okupacji, jeden został zaanektowany przez Niemców, a drugi powiatowy szpital został jedynym szpitalem na duży okręg. Był bardzo zapchany. Moja praktyka odbywała się na oddziale chirurgicznym oczywiście. Mama, jak mnie wyprawiała do tego Jędrzejowa, to powiedziała mi: „Naucz się czego się da, bądź dzielna. To nie jest łatwe, ale się nauczysz. Życzę ci tylko jednego, żebyś nie musiała wynosić nogi do kosza”. Ona opowiadała mi, że miała takie pierwsze swoje doświadczenia w tamtej wojnie. Dyrektor i lekarze byli oczywiście wszyscy zakonspirowani i wiedzieli, po co my tam jesteśmy. Przechodziłam kolejno przez wszystkie pracownie oddziału chirurgicznego i tak się złożyło, że pierwszego dnia byłam w ambulatorium, gdzie przyjmowali z zewnątrz. I przyszedł taki chłop z ropowicą, już miał gangrenę w jednej z nóg, akurat. Dali mu więc znieczulenie miejscowe, wyciągnęli piłę, a mnie kazali nogę trzymać, bo trudno było inaczej, i mu ją upiłowali. Jak odpiłowali, to powiedzieli: „Proszę to wynieść”. Wszystko mama przewidziała. Potem przechodziłam przez różne oddziały, widziałam żołnierzy niemieckich w takim stanie, że naprawdę to było ciężkie. Jeden miał ranę, otwarty brzuch, zaropiał w ogóle okropnie, chłopak umierał. Był chyba ze Śląska albo skądś, znał polski, ale wolał mówić po niemiecku. Prosił, żeby mu napisać list do matki, no to mu

---

<sup>60</sup> Osoba bliżej nieznaną.



napisałam ten list pod dyktando. On zmarł bardzo szybko zresztą. Ale byli chorzy strasznie, strasznie biedni, w strasznym stanie, w bardzo prymitywnych warunkach, okrutnie. Doszłam tam dość wysoko, prawie szłam do sali operacyjnej, co było najwyższym oczywiście stopniem. Odwołali mnie, jak się zaczęło powstanie w Warszawie i nasi żołnierze już szli na Warszawę.

Jeszcze zdążyłam się zapisać przez mojego kolegę<sup>61</sup> w Warszawie na studia i byłam tam w lipcu w 1944 r. Mieszkałam u mojej stryjenki, która wtedy tam mnie gościła. A ten chłopiec był starszy ode mnie o dwa, trzy lata z rodziny naszych sąsiadów. Przy jakiejś okazji sąsiedzkich spotkań takich czy innych, on się pojawił u nas. Przyjeżdżał czasami konno czy przychodził na piechotę nawet i jakoś tak się poznaliśmy, on się mną zainteresował osobiście bardzo wyraźnie i rozmawialiśmy właśnie o przyszłości. On już był wtedy studentem, bo zaczął jakoś tam w Warszawie na tych studiach konspiracyjnych politechnikę i architekturę. I bardzo mnie namawiał, a mnie to się podobało. On mnie zapisał i ja wtedy pojechałam w tym ostatnim miesiącu przed wybuchem powstania. Natomiast do Biegana w tym czasie przyjeżdżały młode osoby od naszych znajomych, przyjeżdżały wytchnąć w czasie wakacji od Warszawy, rodzice ich wypychali do nas. Ja wróciłam przed samym powstaniem. Szybko pojawili się warszawiacy, którzy po prostu musieli Warszawę opuścić i oni nas dogęścili do reszty. Wtedy warunki mieszkaniowe i żywienia zrobiły się już naprawdę bardzo trudne. Ja już spałam na podłodze pod łóżkiem mojej mamy, większość z tych, którzy nocowali w tym domu spała na podłodze, bo brakowało innych możliwości, a z jedzeniem było trudno.

Tam gdzie młodzi, to tam zawsze jakiś optymizm i zawsze jest jakiś taki ruch wewnętrzny. Myśmy robili, co mogli, żeby się troszkę rozweselić, pobawić. Było troszkę sportu, troszkę wypraw do lasu po grzyby. Jeździło się do Kwiliny, gdzie lasy były jeszcze większe, były stawy, tośmy się kąpali w tych stawach w lecie. Nie był to najgorszy okres w moim życiu w gruncie rzeczy, mógł być bardzo trudny, a był tylko zahamowaniem naszej w ogóle rzeczywistości młodych ludzi. Ja miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy się to skończyło.

Ale do samego końca były jakieś akcje, jakieś pacyfikacje, jeszcze w sąsiedztwie tam, gdzie była parafia, moja mama i jeszcze taka jedna pani z sąsiedniego dworu<sup>62</sup> zorganizowały szpital dla partyzantów. W szkole

---

<sup>61</sup> Osoba bliżej nieznana.

<sup>62</sup> Osoba bliżej nieznana.

na parterze, bez żadnych możliwości osprzętowania, w jednej sali leżało z dziesięciu młodych chłopaków, rannych. Leżeli pokotem na siennikach jakichś, na podłodze. Te opatrunki, jakie mieli, to takie, jakie dało się w ogóle mieć. Poza tym trzeba było robić coś, żeby oni nie byli ranni, tylko chorzy na tyfus koniecznie. Byli przytomni mniej lub bardziej, wmawiało się im: „Pamiętajcie, jesteście tyfusowi, macie gorączkę, nic nie mówcie, nic, dosłownie. Macie gorączkę”. Ale te panie, które tam były – ja tam miałam dyżury kolejno, na zmianę z innymi – miały pietra. I była raz inspekcja. Przyszły jakieś władze niemieckie, już nie pamiętam, z obstawą jednego czy dwóch żandarmerów. I przechodzili od jednego do drugiego, pytali się: „A to kto, a to co?” – „Wszyscy tyfusowi”. I wtedy zwiali, Niemcy mieli alergię na hasło tyfus. To było jedyne, co mogło nas uratować wszystkich. I rzeczywiście, oni nie doszli do końca, jak już zobaczyli jeden tyfusowy, drugi tyfusowy, tu wszy, coś tam takiego, po prostu wyszli. To była głęboka jesień 1944 r. No i potem był ten koniec dramatyczny niesłychanie, również dla dworu. Front się zbliżał. Słyszało się już z daleka takie dudnienie ciężkich dział, artylerii.

Jeszcze może przedtem powiem, że kolejne te rabunki, napady i częstowania różnych gości nocnych doprowadziło do tego, że my nie mieliśmy już co jeść. Nie dało się wychować żadnego wieprza, bo wszystko zabierali Niemcy albo bandziory. Krów się starano nie zabijać, ze względu na mleko, a to jednak było bardzo ważne. Nie było już mąki, bo nam zabierali wszystko. Dwór pełen młodych ludzi, coś trzeba było jeść, zaczęliśmy robić dyżury i chodzić na wieś do żaren, ja też chodziłam. Wtedy pierwszy raz przekonałam się, jak potwornie ciężką pracą jest zmielenie zboża na mąkę na żarnach. To były nieduże żarna, to znaczy kamień, który trzeba było obracać rękami był stosunkowo nieduży, ale był tak potwornie ciężki, że moje młode ręce silnej dziewczyny wysiadały absolutnie. Jadło się kluski z tej mąki, takiej chropowatej, z otrębami, ze wszystkim. Przedtem jeszcze, zanim zabrali nam ostatniego wieprzka, to innego hodowali nasi pracownicy, fornale w swoich chlewikach. Im bandziory nie zabierali. No więc naszego wieprzka chowali, a potem mieli udział w nim. I robiliśmy kiedyś sami kielbasę we dworze, akcja musiała być szybka i bardzo dobrze wykonana, dlatego że każdy gość nocny mógł nam to wszystko zabrać, a zapach kielbasy wędzonej czy nawet niewędzonej jest taki, że się go ukryć nie da. Mam więc w swoim doświadczeniu również praktykę kręcenia maszynką, co się z jednej strony naciąga kiszkę zwierzęcia, a z drugiej się wkłada te wszystkie kawałki pomieszane razem i napycha się to, a potem się te zwoje wkłada pod łóżko i modli do Opatrzności Bożej, żeby dzisiaj akurat nie przyszli, bo jutro to już gdzieś wyniesiemy dalej.

W końcu przyszedł front. To było też nieprawdopodobne, to też się do filmu nadaje. Nasza wieś miała kierunek wschód–zachód. Przez naszą wieś i przez nasze pola najpierw jechali Niemcy podwodami, to znaczy zabierali co mogli, wozy, bryczki, wszelkie możliwe pojazdy i konie, które by to wiozły, i jechali na zachód. To znaczy jechali ci żandarmi, te obstawy tartaków i gorzelni, tacy ludzie, którzy mieli karabiny i byli umundurowani, ale nie mieli żadnego znaczenia militarnego, prawdę mówiąc. Tuż za nimi biegli i szli, i jechali podwodami żołnierze armii radzieckiej. Różnica między innymi polegała nie tylko na tym, że jedni gonili drugich, a drudzy uciekali. Ci żołnierze, którzy szli tą lawiną, jak powódź, każdym strumieniem, szli za tymi Niemcami na zachód, to byli ludzie nie z naszej epoki, jeżeli byli umundurowani, to te mundury były podarte i w dziurach i z jakimiś takimi szmatami. Większość z nich jednak nie była umundurowana. Mieli karabiny, jakieś takie armatki, które ciągnęli strasznym wysiłkiem, albo rewolwery. Mieli także noże, sztylety i bagnety. Wszyscy byli pijani, inaczej by nie dali rady pewno. I oni jak szarańcza przechodzili przez wsie i przez dwory.



Gimnazjum  
żeńskie pań  
Szczuka w Rabce,  
1937 r.,  
fot. ze zbiorów  
B. Gołajewskiej-  
-Chudzikiewicz.

Jak była już noc, to oficerowie zostawiali na noc we dworze, żołnierze po wsiach. I o świcie odchodzili, zabierając absolutnie wszystko.

Przyszli i do naszego dworu, czterech czy pięciu oficerów, już nie pamiętam. Moja mama Rosjanka. Pytają się, gdzie *pomieszczik*. To ona mówi, że nie ma *pomieszczika*. – „No to kto?” – „To ja *pomieszczica*, kobieta.” – „My tu będziemy spać”. Mama przerażona patrzy na wszystkie dziewczyny, łącznie ze mną. Nie wiadomo, co się może zdarzyć, pijani wszyscy. Wykombinowała jeden pokój i salon na to, żeby im dać coś. Nie było już skąd brać, u nas leżeli na siennikach przykrywani jakimiś derkami, nie wiadomo czym, ci wszyscy uciekinierzy. Z powstania przecież ile przyszło jeszcze. Położyła tych oficerów, oni padli zupełnie nieprzytomni ze zmęczenia i wszystko było dobrze. A mnie trzymała przy sobie cały czas, ja spałam na podłodze pod jej łóżkiem. Oni wszyscy przeszli. I był taki moment – gdzieś na naszych polach dopadli jakichś Niemców i wystrzelali ich tam prawdopodobnie.

Potem była chwila przerwy, myśmy się jakoś zbierali. Ci z Poznania tylko się zaczęli oglądać, jak by się tu dostać, żeby wrócić do Poznania. Oni wszyscy mieli gdzie wracać. A myśmy zostali i wtedy przyszedł jeden z naszych fernali, o którym wiedzieliśmy, że jest komunistą. Przyszedł i powiedział do mojej mamy: „Pani hrabino, pani wie, zmieniło się. Teraz ja jestem tutaj komisarzem i ja decyduję o tym, co się tu będzie działo z panią, z pani rodziną, z domem i z majątkiem”. No bo już manifest PKWN był aktualny. Mama mu spokojnie powiedziała: „Wiem przecież, kim pan jest. W porządku. No i co pan zdecydował?” To on powiedział: – „Pani z dziećmi może zostać we dworze w tych dwóch pokojach i w łazience, reszta będzie do naszej dyspozycji”. Sam dwór i park zachowali. Do niedawna, a na pewno do 1989 r., to wszystko było własnością skarbu państwa. W naszym domu, jak się okazało później, była służba zdrowia. Tutaj przyjeżdżał lekarz z Częstochowy co jakiś czas i obsługiwał ten teren właśnie. Potem wyprowadzili to wszystko z dworu i dwór zaczął niszczyć. Dzisiaj jest w bardzo złym stanie<sup>63</sup>.

\* \* \*

Natomiast samo wyjście z domu naszego w 1945 r. w zimie to było takie, że ja od razu jak tylko się dało zapisałam się na uniwersytet, to był początek lutego. Tu się wszystko organizowało od zera. I najpierw mieszkałam

---

<sup>63</sup> W 2007 r. dwór wraz z parkiem trafił w ręce prywatne i został gruntownie wyremontowany. Obecnie znajduje się w nim pensjonat.

u krakowskiej rodziny mojej na podłodze w kuchni, w mieszkaniu, w którym oni mieszkali przez okupację, od momentu, kiedy ich dom przy alei Mickiewicza zabrali Niemcy, a ich przerwali do żydowskich domów, bo zrobili getto. Więc jeszcze w tym żydowskim mieszkaniu na podłodze w kuchni mieszkalam jakiś tydzień może, a potem dostałam akademik. Dzięki temu, że już „Bratniak” po dwóch tygodniach, czy w trzecim tygodniu wolności się zorganizował i pracowały tam dziewczyny, które studiowały przed wojną. Pytają się – „Skąd jesteś, z powstania czy ziemianka?” Ja mówię: „Ja ziemianka”. – „A to świetnie, to będziesz mieszkała z takimi dwiema z powstania warszawskiego, które też nie mają gdzie mieszkać”. Takich jak ja, co się zapisały na uniwersytet ziemianek, było bardzo niewiele. Ja się potem zorientowałam, że ja jestem jedną z nielicznych, która przyszła tu jak żak w dawnych czasach, żeby się zapisać na uniwersytet. One tu przyjeżdżały do rodzin, czy do czegoś, próbowały znaleźć jakąś pracę, ale niewiele z nich studiowało. Ja od razu się z warszawiankami skumałam, one mnie bardzo źle traktowały na samym początku, uważając, że nie wiadomo, kto to w ogóle jest, bo one były z powstania, ale potem żeśmy się bardzo zaprzyjaźniły. Poszłam na studia na architekturę. To było nowe życie.

\* \* \*

Moja mama by nie wyjechała z Bieganowa, komisarz przydzielił jej kawałek dworu, ona nie chciała wyjechać. To samo było w Kwilinie, gdzie była najstarsza moja siostra stryjeczna i ona też powiedziała, że nie wyjedzie. Wtedy się zaczęły aresztowania ziemian, którzy nie dosyć szybko opuścili swoje domy i ją też zaaresztowali, wsadzili ją do więzienia we Włoszczowej. Wtedy moja mama się zdecydowała, ja na moment wróciłam do Bieganowa wtedy i poszliśmy na piechotę do Krakowa. Szliśmy z plecakami, była zima, mieliśmy na sobie te nasze ciepłe ubranka, uratowane w drzwiach od łazienki przez całą okupację. Gdzieś nas przenocowali, nie pamiętam tego pierwszego noclegu. Na drugi dzień przechodziliśmy przez tunel zrujnowany, rozbity bombami niemieckimi. Oni przed odejściem po prostu zniszczyli ten tunel i tym samym zniszczyli komunikację kolejową bardzo istotną. Bo to była istotna bardzo trasa kolejowa między Krakowem a Warszawą. Nawet nie pamiętam szczegółów tej wyprawy. Ale ponieważ ja już szłam raz na piechotę, więc uważałam, że to się da zrobić. Mój brat był młodszy ode mnie, miał dwadzieścia jeden lat, no to co to dla chłopaka. Moja mama to jeszcze nie była stara kobieta i też jakoś przeszła. Doświadczenie było niełatwe, przeszliśmy z tym, co się udało udźwignąć w plecaku.



Barbara  
Gołajewska-  
-Chudzikiewicz,  
fot. J. Gałęziowski

W Krakowie rodzina nas przyjęła serdecznie, troszkę nas nakarmiła z jakichś zasobów, ja byłam zabezpieczona w akademiku, mój brat uciekł na Zachód, a mama przeniosła się w końcu na Śląsk i zaczęła po raz kolejny w swoim życiu nowe życie. To było trudne doświadczenie dla niej, na pewno, ale ponieważ miała poczucie misji, miała zawsze w sobie taki odruch społeczny pomagania, to się zabrała za to. Zajęła się organizowaniem czytelnictwa, mówiła biegle po niemiecku i miała w związku z tym możliwości kontaktowania z miejscowymi.

\* \* \*

197

To było nasze wielkie szczęście, że w naszym własnym domu przeżywaliśmy właściwie bardzo szczęśliwie całą okupację. Byłam zdrowa, silna, odporna i miałam zrównoważony system nerwowy. Ja mnóstwo rzeczy przechodziłam dzięki temu spokojowi moich nerwów. Byłam stosunkowo spokojna i to mi pomagało przechodzić przez te różne sprawy jakoś. To jest szkoła, której następne pokolenia już nie mają. To wszystko było takim bogactwem, które mnie potem prowadziło przez życie aż do samego końca, aż do „Solidarności”. Cały czas byłam, w moim przekonaniu, w środowisku, które było również bezpiecznym środowiskiem i dobrym. Moje środowisko plastyczne i to nie czysto artystyczne, tylko projektowe, taka międzydyscyplinarna grupa między myśleniem racjonalnym a fantazją artysty. Naprawdę łaska Boża. Całe moje życie pracowałam między projektantami i architektami, ze studentami na uczelni projektowej, w cudownym, wspaniałym, przyjaznym i kulturalnym środowisku. Super. Tak, że to procentuje na pewno i to wielka łaska Boża przy wszystkich przygodach, które miałam, bo ja w czasie, już pod koniec studiów i po studiach, miałam jeszcze różne wspaniałe przygody związane już z życiem tym studyjno-zawodowym. Bardzo interesujące, niezwykle dosyć. Tak mi się wydaje przynajmniej, naprawdę.

Jakub Gałęziowski

*The Gone World  
Memoires of Barbara  
Gołajewska-  
-Chudzikiewicz*

**Edited by  
Jakub Gałęziowski**

**The biographical account of Barbara Gołajewska-Chudzikiewicz was recorded in 2007 as a part of the documentary project “The Forgotten Witnesses to the 20th century” run by the KARTA Centre and the History Meeting House. The narrator tells the story of her life, as well as the story of her family, starting in 1918. As the material is very extensive, in this publication only the fragments regarding the years 1918–1945 are presented. The narrative, in a manner typical for landed gentry of the Kielce region, contains a description of Ms Gołajewska-Chudzikiewicz’s childhood and family life in a small landed estate of Bieganów in the times of the Second Polish Republic. It gives insight into the course of her education, upbringing of children and young people in a landowning family, relations between the servants and the landowners, everyday life in the manor house, along with civilization difficulties, celebrating of holidays, the manor-village relations, and finally the general way the landed family functioned between the countryside and the city. The next important part of the narrative starts with the outbreak of WWII and conveys the everyday life of the manor under German occupation in the General-Government. The narrator describes the functions of the Polish manor in occupation conditions: helping and giving shelter to those displaced from the territories incorporated to the Third Reich, helping the Warsaw Uprising fugitive fighters, active participation in the Home Army structures, and relations with the German invader, as well as food and clothes extortions run by armed groups of unknown provenance, and confrontation with the Soviet army entering from the East.**